

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



DANES-PICTA.COM



AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ

Janusz ZUZIAK

I DYWIZJA PANCERNA GEN. STANISŁAWA MACZKA WE WSPOMNIENIACH ŻOŁNIERZY

(Część II)

Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

~~S/4927 cz. 2~~



05-004927-001-0

68994

WARSZAWA



WOJSKOWY INSTYTUT HISTORYCZNY
AKADEMIA OBRONY NARODOWEJ

Janusz Zuziak



1 DYWIZJA PANCERNA
GEN. STANISŁAWA MACZKA
WE WSPOMNIENIACH ŻOŁNIERZY
(CZEŚĆ DRUGA)



WARSZAWA

2001

Recenzent:
Plk dr Stefan Zwoliński

S. Zwoliński

Wstęp

Po zakończeniu drugiej wojny światowej i niemal dwuletniej służbie okupacyjnej na terenie północno – zachodnich Niemiec żołnierzy 1 Dywizji Pancerniej, dowodzonej przez generała Stanisława Maczka, czekał rozbrat z mundurem. W drugiej połowie 1947 roku większość z nich została zdemobilizowana i ze skromną odprawą pieniężną przeszła do życia cywilnego.

Przed wszystkimi żołnierzami generała Maczka stanął niezwykle trudny dylemat, przed wszystkimi stało pytanie o dalsze losy, ale przede wszystkim o to czy wracać do Polski czy też pozostać na obczyźnie. Po zdjęciu munduru rozpocząć mieli oni nowy etap swego życia. Wszyscy myśleli o tym aby dalsze życie ułożyć sobie jak najlepiej. Niektórzy zdecydowali się na powrót do Ojczyzny, gdzie większość miała przecież rodziny, matki, ojców, rodzeństwo, przyjaciół. Większość jednak postanowiła pozostać na emigracji. Nie wszystkie te decyzje miały charakter polityczny, nie wszystkie były wyrazem żołnierskiego sprzeciwu wobec zaistniałej w Polsce - na skutek decyzji jałtańskich i poczdamskich – sytuacji politycznej, chociaż bez wątpienia to stanowiło główny motyw. Wielu spośród żołnierzy Maczka kierowało się w podejmowaniu decyzji o pozostaniu na Obczyźnie względami głęboko osobistymi.

Kilkuset byłych polskich pancerniaków po wojnie osiedliło się na terenie wyzwalanej przez siebie we wrześniu i październiku 1944 roku Holandii. Większość z nich swoje korzenie zapuściła w północnej Brabancji, której stolicą jest miasto o wielowiekowej historii, Breda. W Bredzie i jej pięknej okolicy osiedliło się 236 żołnierzy Maczka. Dzisiaj są to już weterani w mocno zaawansowanym wieku, niemal wszyscy po osiemdziesiąt i więcej lat. Mają za sobą kilkuletni szlak wojenny i kilkudziesięcioletni szlak życia cywilnego na bardzo przyjaznej dla nich ziemi holenderskiej.

Dlaczego właśnie Breda i okoliczne miasta i miasteczka, jak Tilburg, Dongen, Geertruidenberg, Sprang – Capelle, Baarle – Nassau, Oosterhout czy nieco bardziej od stolicy północnej Brabancji oddalone Den Bosch, Rosmalen zostały wybrane przez polskich weteranów na miejsce osiedlenia? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Po wyzwoleniu ziem północnej Brabancji i osiągnięciu linii Mozy (ostatnim aktem było wyzwolenie mocno ufortyfikowanej miejscowości Moerdijk) 1Dpanc. przeszła do kilkumiesięcznego postoju na linii tej rzeki. Służba polegała na stałym patrolowaniu i obronie osiągniętej w ciężkich walkach linii. Wyglądało to z reguły tak, że żołnierze spędzali dwa tygodnie na posterunkach i patrolach, po czym powracali do miejsc stałego postoju na odpoczynek. Miejscami stałego postoju były prywatne kwatery rodzin holenderskich, hotele, szkoły czy też inne nadające się do tego celu obiekty. W okresie kilku kolejnych miesięcy doszło do zawiązania licznych znajomości i serdecznych przyjaźni pomiędzy żołnierzami polskimi i miejscową ludnością holenderską. Szczególnie gorące przyjaźnie żołnierze polscy zawierali z holenderskimi dziewczętami. Pół roku spędzone na linii Mozy było okresem wystarczająco długim dla powstania licznych związków uczuciowych. Nie ma zatem niczego dziwnego w tym, że na terenie północnej Brabancji osiedliło się tak wielu polskich pancerniaków.

Od września 1939 roku przeszli oni bardzo różne koleje losu. Niektórzy służyli w wojsku już przed wybuchem wojny, inni do żołnierskich szeregów organizujących się najpierw we Francji, później w Wielkiej Brytanii, oddziałów polskich docierali wszelkimi możliwymi drogami. Poprzez obozy dla internowanych na terenie Rumunii, przez Węgry, Jugosławię, przez kraje skandynawskie, w grupach i indywidualnie zgłaszali się ochotniczo do odradzającego się wojska. Znaczną część stanowili żołnierze mający za sobą służbę w armii niemieckiej, do szeregów której wcielani byli przymusowo. Wśród tych ostatnich znajdowali się przede wszystkim mieszkańcy Pomorza,

Wielkopolski i Śląska. Liczną grupę stanowili ci, którzy wyszli z armią generała Władysława Andersa ze Związku Radzieckiego, później zasilając szeregi 1 DPanc.

Z dywizją generała Stanisława Maczka przeszli cały szlak bojowy od Normandii po Wilhelmshaven. Ich wspomnienia i relacje, pieczołowicie przechowywane liczne pamiątki i fotografie stanowią dla historyków, dla badaczy i miłośników historii wojskowej, ale przede wszystkim chyba dla przyszłych polskich – i nie tylko – pokoleń, źródło bezcennych wręcz informacji. Z wielogodzinnych czasami rozmów i wspomnień polskich weteranów wyłania się obraz wydarzeń wojennych znacznie odbiegający od tego, jaki spotykamy we wspomnieniach wyższych dowódców. Ukazuje nam się bowiem obraz widziany z pozycji szeregowego żołnierza, który obserwował i zapamiętał rzeczy i wydarzenia drobiazgowo, takie, które otaczały go na co dzień w trudnej żołnierskiej, wojennej służbie. Zwykłego żołnierza z reguły nie bardzo interesowało to co działo się w wielkiej polityce, nie interesowało zbytnio to co działo się na najwyższych szczeblach dowodzenia. Dla szeregowego żołnierza najważniejsze było przede wszystkim to aby wyjść z wojny – oczywiście zwycięskiej - cało i szczęśliwie powrócić do domu, do rodziny , do bliskich.

Z rozmów z polskimi kombatantami, z ich wspomnień wyłaniają się cztery następujące okresy ich służby w 1 DPanc. Pierwszy obejmuje okoliczności wstąpienia do wojska i cały proces szkolenia i przygotowań do inwazji przeprowadzonej w Normandii latem 1944 roku. Okres drugi, który nam się wyłania obejmuje etap bezpośredniego udziału w walkach, wielu miesięcy spędzonych na froncie. Okres trzeci to dwa lata spędzone w służbie okupacyjnej na terenie północno – zachodnich Niemiec. Wreszcie ostatni, czwarty etap to kilkadziesiąt lat przeżytych na ziemi holenderskiej.

Każdy z wyżej wyszczególnionych okresów jest oczywiście różny, ale każdy z nich mocno przykuwa uwagę słuchacza. Każdy z nich

przepełniony jest wydarzeniami o różnym charakterze, często dramatycznymi, tragicznymi, ale także wesołymi czy zwykłymi codziennymi wojennymi przeżyciami (o ile oczywiście przeżycia wojenne można w ogóle określić zwykłymi). Jakże często przeplatają się tu łzy rozpacz po zabitym przyjacielu i koledze, ze łzami szczęścia po wygranej walce, po wyzwoleniu kolejnych miejscowości. Mamy tu obraz żołnierskiej tragedii i zwykłej bezradności i złości, jak choćby w czasie pomyłkowego zbombardowania pozycji 1 DPanc. przez lotnictwo sojusznicze na terenie Francji. Kiedy indziej chwile szczęścia, jak te po zwycięstwie pod Falaise, po wyzwoleniu Ypres, Lokeren, St. Nicolas, Axel, Baarle – Nassau, Bredy i wielu innych miejscowości.

Cechą charakterystyczną poniższych wspomnień jest również inny od ogólnie znanych z relacji i wspomnień wyższych oficerów, wyższych dowódców, obraz wojny i osobistych wojennych przeżyć. Szeregowy żołnierz inaczej postrzega bieżące wydarzenia wojenne, inaczej widzi wszystko to co się wokół niego w warunkach wojennych, na froncie dzieje. Często to co dla dowódcy wyższego szczebla ma znakomite znaczenie, dla szeregowego żołnierza może przejść zupełnie niezauważalnie, może on do tego nie przykładać żadnej wagi. Z wielu ważnych wydarzeń nie zdawał sobie nawet sprawy. I odwrotnie, jak się okazuje dla dowódców i oficerów wyższych szczebli wiele zdarzeń nie zasługuje na zachowanie ich w pamięci, nie zasługuje na dzielenie się nimi z czytelnikami czy słuchaczami. Dowódcy wyższych szczebli nie zawsze są dostatecznie zorientowani czym żyją ich podwładni, szeregowi żołnierze.

Wydaje się zatem, iż zaprezentowany poniżej materiał wspomnieniowy stanowi cenne źródło dla historyków, ale także dla czytelnika interesującego się problematyką drugiej wojny światowej. W szczególności zainteresuje być może tych wszystkich, którzy zajmują się dziejami Polskich Sił Zbrojnych na zachodzie w latach drugiej wojny światowej i ich losem, losem pojedynczych żołnierzy, po wojnie, na

obcej ziemi. Na ziemi, która niebawem stała się ich nową ojczyzną, na której założyli własne rodziny i zbudowali własne domy. Przy czym nie wolno zapominać o tym, że ich prawdziwą ojczyzną do końca pozostawała i pozostaje Polska.

Janusz Zuziak

Rozmowa ze Stanisławem Dancewiczem przeprowadzona we wrześniu 1999 r.

Stanisław Dancewicz: ur. 5 grudnia 1921 roku w Buczaczu.

Stanisław Dancewicz: Najstarszy w domu był mój brat Jan, później byłem ja – Stanisław – później Julian i Antek. Mieliśmy jeszcze jedną siostrę, Stanisławę. Ojciec był na kolei zastępcą naczelnika stacji, z tym, że 5 – 6 lat przed wojną miał hobby pszczelarstwo, miał ponad 300 uli, był zawodowym pszczelarzem. Sześciu ludzi było potrzebnych stale, żeby to doglądać. Tam jest więcej pracy, jak człowiek sobie normalnie myśli, z tymi pszczołami. Ja się urodziłem w 1921 roku to w 1939 miałem mniej więcej 18 lat. Skończyłem gimnazjum i ta wojna w 1939 roku nas zaskoczyła.

Janusz Zuziak: Czy Pan wtedy mieszkał w Buczaczu?

S. D.: W Buczaczu, tak. W pewnym momencie mój starszy brat przyjechał do domu z dwoma kolegami z wojska. W Trembowli była kawaleria polska.

J. Z. : Brat był w tej kawalerii właśnie?

S.D.: Tak, był w tej kawalerii. On przyjechał i wtedy powiedział nam, że oni się przygotowują do ucieczki do Rumunii.

J.Z.: Czy Pana brat był zawodowym żołnierzem?

S.D.: On odsłużył normalne wojsko i miał być zawodowym żołnierzem. Służył pierwszy rok jako żołnierz zawodowy. Jak oni powiedzieli nam, że chcą uciekać, no to myśmy też przecież byli młodzi, ja i jeszcze dwóch kumpli, Wasilewicz, też z Buczacza i Haśko Szandler, też zgodzili się. Myśmy nie decydowali, bo oni starsi byli, mieli więcej pojęcia na te tematy. Ale myśmy zebrali pistolety, kompasy, wszystkie takie potrzebne rzeczy i udaliśmy się w kierunku na Kołomyję, dalej na Czerniowce. Sześć kilometrów przed była dawna, stara granicą pomiędzy Rumunią a Polską jeden z kolegów mojego brata miał tam czy wuja, czy jakąś rodzinę. On miał takie większe gospodarstwo. Plan był ażeby tam przenocować i nad samym ranem nawiewać przez granicę do Rumunii. Z tym, że to się pokiełbało. Z jakiego powodu? Myśmy tam przyjechali i ten kolega mojego brata myślał, że jego rodzina tam mieszka. Okazało się, że Rosjanie już ich dawno, że tak powiem na Syberię pognali, a tam już byli

panami Ukraińcy. Jak tam przyjechaliśmy to się zaraz zorientowaliśmy. Te zabudowania miały takie różne komnaty i tam ich pozamykaliśmy. Dwóch takich dużych budrysów i ojca. To był początek grudnia, zimno. Zapalony był taki duży ogień w wielkim kominku, takim dużym, że cały by pan tam wszedł. Na zmianę mieliśmy ich pilnować. Jeden z nas, Wasilewicz, usnął. Oni się zorientowali, że Wasilewicz śpi, znaleźli jakieś żelazo, wyłamali kratę. Uciekli. Po pewnym czasie coś nas zbudziło. Patrząc przez okno i widzę jak nas Rosjanie otaczają. Ja miałem na sobie tylko jedwabne skarpetki na nogach, takich normalnych zimowych w tym czasie na sobie nie miałem. Mój brat i jego koledzy znali się trochę na żołnierskich zasadach, i kiedy Rosjanie do nas strzelali, to oni wykorzystywali nierówności terenu. Ja z nich najlepiej jeździłem na nartach. Ja wiedziałem gdzie jest granica i jak oni schodzili na prawo, ja jechałem prosto, z tym, że nas zaskoczyli Rosjanie bo cofnęli granicę pomiędzy Rumunią a Polską o dobre dwa kilometry. Przed drogą asfaltową w kierunku na Zaleszczyki postawili druty kolczaste, tylko co 200 metrów otwarcie, gdzie samochody rosyjskie, nie samochody, tylko na saniach takie wozy jechały. Myśmy dotarli do takiego faceta, żołnierza rosyjskiego i go zaskoczyliśmy. Jak zaczęliśmy strzelać to on nawiał i myśmy w trójkę uciekli. Mój brat z tymi dwoma kolegami szukali innej drogi, wykorzystywali te nierówności i ich Rosjanie złapali i rozstrzelali. Cała trójka została złapana. A myśmy w trójkę, najmłodszy przyjechali i byliśmy w Czerniowcach. Nie zapomnę nigdy jak żeśmy tam przyjechali i w pewnym momencie, już tak było ciemno, i myśmy na tych nartach jechali, nie wiele brakowało, żebyśmy do wody wpadli. Rzeka tam płynęła. Uszy mi tak strasznie zmarzły. Chciałem je ponacierać, ale pewna babcia kazała mi wyjść na dwór i śniegu nazbierać, dopiero tym śniegiem ponacierać. Po jakimś czasie to wszystko minęło. Później nas dowieźli do Bukaresztu. Tam mieszkaliśmy jakieś dwa, trzy kilometry poza miastem, tam mieliśmy się po dwóch dniach zgłosić do sądu. Bo oni chcieli być neutralni na zewnątrz, w stosunku do Niemiec. Ale to wyglądało w ten sposób, że tu pan wszedł, a wyszedł pan drugimi drzwiami na zewnątrz. Ktoś kto był młody tak jak ja, to robili z niego 16 – latka, to znaczy nie wojskowego, a ktoś kto miał trzydzieści lat to już miał automatycznie czterdzieści pięć. Przyznać muszę, że w tych sprawach Rumuni byli naprawdę a nami.

W Rumunii byliśmy jakieś dwa, trzy miesiące. Później stamtąd podwieźli nas pod granicę jugosłowiańską. To było w 1939 roku, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Tam czekali na nas już Jugosłowianie. I stamtąd odtransportowali nas do Splitu w Jugosławii. Dlatego, jak ja Split widzę teraz, jak zbombardowany jest, to aż mi się płakać chce, bo przecież to jest takie piękne miasto. Myśmy tam byli dobre dwa, trzy miesiące. Później jakimś włoskim chyba statkiem przewieźli nas do Francji. Na statku było o ponad 800 ludzi więcej, niż można było nim przewozić. Jak płynęliśmy to wszystko na tym statku zgrzytało, że myśleliśmy, że się rozleci. Na szczęście żeśmy dojechali i we Francji, jak tylko wjechaliśmy, to nas odtransportowali do Coëtquidan. Polacy nazywali ten obóz „Koczkodan”. Ulokowali nas w takich dużych jakby magazynach i tam ja spałem na drugim piętrze, na piętowych wojskowych łóżkach.

J. Z.: Czy do Francji dotarł Pan jeszcze w 1939 roku?

S. D.: Tak, jeszcze w 1939 roku. Tam gdzie spaliśmy to nie można było jedzenia na następny dzień zostawić bo taakie! szczury były. Wszystko zjadły. Nawet, jak żeśmy na sznurku wieszali, to one przegryzły sznurek i zjadły! Niemcy zaczęli znów nam po piętach gonić. Jak Niemcy zaatakowały Francję. Ja byłem wtedy przy moździerzach. To były takie stare, jeszcze z 1918 roku. Żeby nosić podstawę od moździerza to trzeba było silnego bardzo chłopca. Myśmy ją na takich paskach nosili. Jak ćwiczenia były i padła komenda „padnij!” to człowieka tak przycisnęło, że myślał, że nie stanie normalnie. Jak jechaliśmy z Coëtquidan do portu La Tourbal to kazali nam to wszystko wrzucić do wody. Oni mieli konia, a ja miałem osła. Jak ja chciałem, żeby ten osioł szedł naprzód, to on szedł do tyłu! Anglicy w swoich magazynach zostawili tam kolosalne ilości papierosów, czekolady. Nasz kapitan w tej podoficerskiej szkole to kazał nam zaopatrzyć się, ale nie brać zbyt dużo na statki. To były angielskie statki wojskowe, wojenne. Myśmy musieli na pokładzie spać, bo na dole nie było miejsca. A w tym czasie Niemcy byli silni w powietrzu, tak że jak był sygnał o samolotach niemieckich to myśmy się chowali, gdzie tylko można było, ale nie pod armaty przeciwlotnicze bo oni musieli mieć tam miejsce, ich obsługa musiała mieć miejsce.

Ja w 1940 roku, kiedy Niemcy zaatakowały Francję byłem w szkole podoficerskiej. Nawet jej nie ukończyliśmy. Nas było chyba około 200. Niemcy nam po ataku na Francję po piętach deptali. Wylądowaliśmy w Anglii niedaleko miejscowości

Blackpool, jakieś dobre pięć tygodni mieszkaliśmy w namiotach, takich dużych żelaznych namiotach. Tam było bardzo pięknie, Anglicy nam dawali jeść. Wiem, że w czwarty czy piąty dzień, zjechało się pełno Anglików. Jak nas pozabierali do siebie to ja myślałem, jak to będzie, przecież człowiek po angielsku nie umiał. Ale okazało się, że szybko się nauczyliśmy tego co potrzeba było.

J. Z.: Czy w momencie wyjazdu z Polski we wrześniu 1939 roku, wyjeżdżał Pan z myślą o wstąpieniu do wojska na obczyźnie?

S. D.: Naturalnie. Naturalnie. W Buczaczu już profesor od gimnastyki, Bula się nazywał, on już wtenczas organizował te wyjazdy. Mówił, żeby uciekać do Rumunii i tam się wojsko będzie organizować. Z rejonu Blackpool pojechaliśmy dalej do Szkocji, w rejon St. Andrews. Mam nawet do dzisiaj zdjęcia tych miejsc gdzie mieszkaliśmy. Ja dostałem zezwolenie na spanie u Szkotów znajomych bo oni dużo robili dla Polaków. Za piętnaście ósma musiałem się meldować w koszarach.

J. Z.: Kiedy wylądował Pan w Anglii, jakie były wówczas pańskie odczucia po przegranej Polski we wrześniu 1939 roku, później Francja poniosła klęskę i znowu musiał Pan uciekać, tym razem do Anglii? Co Pan wtedy myślał?

S. D.: Szczerze mówiąc co ja myślałem to trudno mi powiedzieć. Myśmy Polskę opuścili bo wiedzieliśmy, że Rosjanie nas nie zostawią. Jak Rosjanie weszli do Buczacza to najpierw zrobili Żydków milicją. Tam była taka rodzina Żydków, takich trzech byków. Oni ładowali, rozładowywali pociągi, towarowe pociągi. Między innymi wysyłane były świny do Anglii. Tych Żydków zrobili w pewnym momencie milicjantami i to oni Ruskim opiniowali i Polaków i Ukraińców. A jak oni się skończyli, kiedy ich wysłali na kurs, to Ukraińcy dostali tą samą władzę. Mój ojciec pochodził w czystej polskiej wioski Późniki, otoczonej Ukraińcami. Podczas wojny Ukraińcy strzelali do ludzi, do dzieci, jak do zajęcy. Oni otoczyli wiochę całą. Myśmy ostatnie lata mieszkali w Gajach Buczackich, oddalonych o sześć kilometrów od miasta Buczacz. Mój ojciec miał pasiekę to nie mógł mieszkać w mieście.

J. Z.: Mówił Pan o tym, że rodzina żydowska powołana została do milicji. Proszę powiedzieć, jak oni was traktowali, już jako milicjanci?

S. D.: Myśmy przez nich musieli właściwie uciekać. Oni często wpadali do nas, szukali czy nie ukrywamy kogoś. „Bandytów”, jak oni to nazywali. Oni wcześniej

mieszkali i żyli w Buczaczu, wśród nas. To byli jedyni trzej Żydki którzy pracowali, bo wszyscy inni to mieli albo sklepy, albo handlowali, albo czymś innym się zajmowali. Oni naprawdę byki silni byli, na załadunkach na kolei pracowali. Oni dla ratowania siebie, nawet jak nie było już pretekstu to oni wymyślali, żeby tylko pokazać, że oni coś robią. Ukraińcy później to samo robili. Gdyby Ukraińcy dostali stu procentową zgodę, to oni by wszystkich Polaków zupełnie wykończyli.

J. Z.: Wróćmy może do tego okresu, kiedy był Pan już w Szkocji. Kiedy przyjeżdżał Pan do Anglii czy zastanawiał się Pan nad przyszłością Polski, myślał Pan nad przyszłym losem własnej ojczyzny, nad tym ile ta wojna potrwa?

S. D.: To były początki. Myśmy nie znali języka, nie mieliśmy gazet. Myśmy naturalnie wiedzieli, że trzeba będzie walczyć, żeby wrócić. Po to żeśmy tam pojechali. Myśmy przecież nie mieli na sytuację prawie żadnego wpływu. Myśmy mieszkali albo pod namiotami, albo w takich żelaznych dużych barakach. Człowiek nie wiedział co z nami zrobią. Myśmy nie wiedzieli czy nam wojsko pozwoli organizować. Dopiero po pewnym czasie przyjeżdżali oficerowie z Londynu i mówili, żebyśmy się nie niecierpliwicko, że walczą żeby wojsko polskie powstało samodzielnie. Mówili nam, że stworzymy swoje wojsko. Człowiek czekał na tę chwilę.

W pewnym momencie nas wysłali do Szkocji i w Szkocji zaczęło się normalnie rzemiosło wojskowe. Nas było 28 piłkarzy, to myśmy nic prawie innego nie robili tylko w piłkę grali.

J. Z.: W jakich warunkach mieszkaliście i żyliście w tych trudnych pierwszych tygodniach na ziemi brytyjskiej? Jakie mieliście stworzone warunki zakwaterowania, jakie było wyżywienie, umundurowanie, jak to wszystko wyglądało?

S. D.: Jak wyjeżdżaliśmy z Francji to mieliśmy skarpetki, bieliznę, takie rzeczy, artykuły do golenia się. Koło Blackpool jak byliśmy to tam przychodziły po nas rodziny angielskie. Bardzo się nami opiekowały. Mieliśmy wtedy bardzo dobrze. Myśmy mieli wszystko. Po trzech, czterech tygodniach człowiek już dużo rozumiał. Ja zawsze mówię, że Polacy mają szalone zdolności językowe. Niektórzy po polsku źle rozmawiali, ale rozumieli wszystko. Anglikom to wszystko można było wtedy wmówić, oni nam we wszystko wierzyli. Jedna dziewczynka pod St. Andrews pytała się czy przed wojną mieliśmy w Polsce radio. To ja jej mówię, że jedno jedyne miał

prezydent Mościcki i jeździł z nim od miasta do miasta, ludzie mieli wolne i słuchali go i tańczyli. Ona się dziwiła. Ja jej później powiedziałem, że to jest tylko kawał, żeby nie opowiadała tego innym.

J. Z.: Jaki miał Pan w Szkocji przydział wojskowy? Czy skończył Pan szkołę podoficerską?

S. D.: W Szkocji najważniejszą moją sprawą była piłka nożna. Myśmy tam grali. Ale i szkoliłem się wojskowo także. Byłem na kursie spadochroniarzy, ja byłem komandosem. Nas używali często w pewnym momencie z zadaniem specjalnym. Na przykład ćwiczenie ile czasu potrzeba dla dostarczenia wiadomości do Edynburga. Ćwiczyliśmy to na wypadek braku łączności. Jechaliśmy wtedy do Edynburga na motorach. Na motorze jeździć mogło dużo ludzi, ale żeby wytrzymać te 600 kilometrów, to trzeba było mieć siłę. Dlatego nas piłkarzy brali do tego zadania. Ja nie zapomnę tego, jak nas komandosi wyrzucili w pewnym miejscu i przegoniliśmy takiego Anglika, oficera znanego z żelaznej kondycji. Musieliśmy na niego czekać chyba godzinę! Teraz jeszcze, w ubiegłym roku, wsiadłem do samochodu i za trzynaście godzin byłem w Warszawie. Bez stania, bez niczego. Nadal gram trzy razy w tygodniu po dwie godziny w tenisa.

Mieliśmy normalny przydział do poszczególnych kompanii, ale wytypowani byliśmy też do piłki nożnej. Ćwiczenia wojskowe mieliśmy tylko w takim czasie, kiedy nie graliśmy w piłkę. Przed inwazją na Normandię ja byłem w zwykłej piechocie. Byłem w 1 Dywizji Pancерnej. Ja byłem w trzeciej brygadzie, flandryjskiej tak zwanej. Czerwone koszule itd.

Kiedy byliśmy w Bredzie to ja dostałem rozkaz zameldowania się w podchorążówce. Nasza dywizja skończyła wojnę w Wilhelmshaven, to ja byłem wtedy w Anglii. Przez jakieś dobre sześć, siedem miesięcy. I dopiero jak to się skończyło, w pewnym momencie zgłosił się ktoś do mnie i mówi, że: „*Tu masz bilety. Nie można o tym oficjalnie mówić, ale my potrzebujemy ciebie w Niemczech, do piłki nożnej.*” Pojechałem ja i jeszcze innych dwóch. Ja ich nie znałem, ponieważ oni byli z innych oddziałów. Przyjechalіśmy do Niemiec, do Burger. Tam znowu zaczynałem w tą piłkę nożną grać. Później nasza dywizja utworzyła specjalny punkt szkolenia na dzień demobilizacji. Dla żołnierzy, którzy nic nie mieli, żadnego zawodu, niczego. W Liehr

mieliśmy taki duży budynek, zarekwirowany przez dywizję, i tam fachowcy polscy, albo angielscy uczyli spawania, fachowych jakichś różnych rzeczy. Wtedy zrobili mnie podporucznikiem. Ja tam służyłem już do samego końca.

J.Z.: Ale jeśli można to wróćmy jeszcze do wcześniejszych pańskich przeżyć wojennych, bo trochę przeskoczyliśmy okres angielski i przeszliśmy do inwazji. Bardzo bym Pana prosił o opowiedzenie nieco więcej o swoim szlaku wojennym od momentu inwazji właśnie, od początku, od załadowania, cały swój szlak, aż wreszcie do Bredy.

S.D.: Byliśmy załadowani na okręty, wyjeżdżaliśmy nocą. Nie zapomnę nigdy, jak już się robiło widniej i wyskakiwaliśmy do wody na brzegach Normandii. Do pasa w wodzie, karabiny musiały być uniesione do góry, żeby nie zamokły.

J.Z.: Czy pamięta Pan w którym miejscu pański oddział wylądował?

S.D.: Nie pamiętam nazwy miejscowości, ale myśmy szli prosto tam gdzie ten worek był później utworzony, na Falaise. Ja tam dostałem Krzyż Walecznych.

J.Z.: Za „Maczugę”

S.D.: Tak, za „Maczugę”. Tam były nieprzyjemne sprawy, bo Anglicy i Amerykanie zbombardowali nas parę razy. Do tego stopnia, że tam dużo polskiego wojska zginęło. Zginęli od swojej broni.

J.Z.: Czy Pan był bezpośrednio pod tymi bombami?

S.D.: Tak, ja byłem wtedy w moździerzach. Wtedy miałem też takie wydarzenie, za które ten Krzyż Walecznych dostałem. Pewnego razu widzieliśmy z daleka idących Niemców. Wziąłem ze sobą kilku moich drabów i jednego takiego Polaka z Francji, po to bo on znał język, więc byłby przydatny w razie potrzeby. Doszliśmy do takiej wysokiej góry, jakieś 600 metrów może uszliśmy, podejrzewałem że tam mogą być Niemcy. Koledzy mnie osłaniali a ja zszedłem niżej i rzuciłem do takiej kryjówki z sześć granatów. Wtedy wszyscy Niemcy zaczęli wychodzić. Chyba jakieś 120 ich było. Moim zdaniem to już był taki czas, że oni wiedzieli, że wojny nie wygrają, bo wszyscy ręce do góry. Myśmy ich obarczyli papierosami, winem, śliwowicą. Jak osły wyglądali.

J.Z.: Czyli nie dość, że zdobył Pan 120 jeńców to do tego jeszcze prowiantu sporo.

S.D.: Ja dostałem wtedy Krzyż Walecznych, a mój przełożony oficer inne odznaczenie.

J.Z.: Czy to byli pierwsi jeńcy, z którymi miał Pan taki bezpośredni kontakt? Jak była wówczas Pańska reakcja? Nie miał Pan wówczas takiej wewnętrznej ochoty żeby się zemścić, nie było w Panu chęci odwetu?

S.D.: To jest zupełnie ludzkie i normalne w tedy, w takiej sytuacji. I niech mi nikt nie mówi, że nie. Bo mu nie uwierzę, albo jest nienormalny. To jest zwykła reakcja człowieka. Jak na tej „Maczudze” byliśmy, to była druga noc. Spaliśmy w wykopanych takich dołkach. Człowiek zmęczony spał. Ale koło siebie miał karabin. W pewnym momencie nad ranem słyszę język niemiecki. Ja sobie myślę co jest? W pewnym momencie ktoś stanął mi tutaj na piersi. Wtedy na nas zrzucili spadochroniarzy. Myśmy ich wtenczas prawie wszystkich wykończyli. Nie raz tak było, że złapaliśmy Niemców do niewoli, nawet tutaj w Holandii tak było, załatwialiśmy ich. Oni też tak robili. Kiedyś naszych chłopaków złapali to ich zastrzelili.

J.Z.: Czy zdarzało się, że Niemcy schwytani przez Pana, przez Pański oddział, byli w odwecie bici przez was, w jakimś akcie zemsty, czy zastrzeleni?

S.D.: Mieliśmy u siebie wielu chłopaków takich, którzy mieszkali przed wojną na terenach zajętych przez Niemców, wcielonych do armii niemieckiej. Miałem takiego jednego ze Śląska. Ten to się aż mu się ręce trzęsły jak złapaliśmy jeńca, aż się palił do odprowadzania jeńców niemieckich do punktów ich dostarczania. Zawsze na ochotnika szedł ich odprowadzać, ale nigdy żaden nie doszedł. W pewnym momencie nawet przyjechał w tej sprawie wysoki oficer angielski. Ten Ślązak mówił zawsze, że jeniec uciekał. Ale Anglik pyta go, jak to uciekał, kiedy się na drzewie powiesił. Ja się nie dziwię, że niektórzy koledzy tak postępowali. Jak mu Niemcy rodzinę zabili, to się nie dziwię. Kiedyś złapaliśmy takiego młodego butnego ss-mana. On nam powiedział, że zabił iluś tam zdrajców niemieckich, którzy nie chcieli iść walczyć za Hitlera. To myśmy go odwieźli z kilometr, powiedzieliśmy mu żeby sobie kopał rów tam gdzie chce leżeć. Głęboko, płasko, jak chce. On też nie doszedł do miejsca, gdzie gromadzono jeńców. To był inny czas. Ja bym teraz sobie nawet nie mógł wyobrazić, żebym mógł kogoś zastrzelić. Ale jak ja widzę, że oni mojego kumpla, z którym się

razem walczy, śpi, w karty gra, strzelają niepotrzebnie. Co innego wojna jest wojna, ale żeby kogoś złapać i bezbronego, ze związanymi rękami zastrzelić.

J.Z.: Wspomniał Pan o kolegach, którzy mieli za sobą służbę w Wehrmachcie. Jaki był stosunek pozostałych kolegów do nich właśnie, jak to się między wami układało?

S.D.: Polskie dowództwo według mnie rozwiązało tą sprawę bardzo inteligentnie. Ludzie dostawali automatycznie inne nazwiska w związku z tym, że jakby go złapali do niewoli to by cała rodzina została zlikwidowana. Nigdy nie było powiedziane, że ktoś kto do nas przychodził wcześniej był w niemieckiej armii.

J.Z.: Czyli Pan w momencie uzupełnienia nie wiedział, który z nowych kolegów służył wcześniej w armii niemieckiej?

S.D.: Ja nie wiedziałem, ale powiem panu, że ci którzy nie mieli nic do ukrywania wszystko panu trzeciego dnia powiedzieli. Ja miałem dużo kumpli, jeszcze mam w Warszawie znajomego faceta, nie wiem czy on jeszcze żyje bo już dawno nie miałem z nim kontaktu, ale on właśnie miał inne nazwisko, wcześniej służył w wojsku niemieckim. Myśmy takich ludzi uważali nie za zdrajców. Oni bardzo dużo czołgów naszej dywizji przywieźli. Niemcy później się zorientowali i nie zgadzali się, żeby dwóch takich w jednym czołgu było. Bo jak oni nieraz zobaczyli niedaleko gdzieś polskie wojsko to się zdarzało, że zastrzelili Niemców i uciekali czołgiem do Polaków. Zdarzało się, że porywali czołg niemiecki. To były fakty.

J.Z.: Gdybyśmy jeszcze mogli wrócić do okresu inwazji na Normandię, chciałbym Pana prosić o jakieś najciekawsze wspomnienia z przebiegu Pańskiej służby, drogi już po wylądowaniu. Chodzi mi o Pański szlak wojenny, jakieś najciekawsze wydarzenia, co najbardziej Panu utkwilo w pamięci, jakieś ciekawe wydarzenia z akcji bojowych, tak jak ta z tymi jeńcami na przykład. Wszystko co Pan może powiedzieć na temat swojej drogi wojennej.

S.D.: Ja byłem cały czas w kompanii moździerzy. Kapitan Szeliga był naszym dowódcą kompanii. Myśmy mieli trzy plutony, po trzy moździerze trzy i pół calowe. To były lepsze, jak te, które we Francji były. Te we Francji to 50 kilogramów ważyła ta osada sama, a te były o wiele lżejsze.

J.Z.: Czy to były angielskie moździerze?

S.D.: Tak, angielskie. Ja byłem w moździerzach. Myśmy prawie nigdy nie byli w pierwszej linii. Jako dowódca takiego moździerza to ja musiałem być gdzieś, gdzie mogłem ocenić skuteczność tych pocisków moździerzowych. Trzeba było liczyć odpowiednie ustawienie moździerza. Muszę przyznać, że jakoś mi to zawsze wychodziło. Ja nie będę opowiadał różnych rzeczy, tak jak niektórzy inni opowiadają dzisiaj to co z książki przeczytali. Ja mogę opowiadać o tym co ja robiłem, gdzie ja osobiście byłem i co widziałem.

J.Z.: Czyli od momentu inwazji do momentu dojścia tutaj do Bredy służył Pan cały czas w moździerzach?

S.D.: Cały czas w moździerzach. W pewnym momencie, jak żeśmy już w Belgii byli, nasza dywizja, w Gandawie, to nie zapomnę jednej ciekawej historii. W Gandawie dla moździerzy nie było zajęcia w tym czasie i dowódca mówi do nas, żebyśmy poszli na dworzec kolejowy w Gandawie, właściwie to niedaleko od Gandawy. Tam przyjeżdża pociąg niemiecki ze zrabowanymi rzeczami z muzeów, itd. To myśmy tam poszli w trójkę. Na stacji siedziało dwóch Niemców, siedział też Belg, naczelnik stacji. Wtedy złapaliśmy tych Niemców, poczekaliśmy nie całe trzy kwadransy i słyszymy pociąg. Poszliśmy dobrych sto, dwieście metrów od stacji w kierunku wjazdowym, tam położyliśmy parę min pod tory kolejowe, a z tyłu, jak ten pociąg jechał, tam zostało dwóch chłopaków, i oni z tyłu położyli te miny. Jakby do tyłu chciał uciekać.

J.Z.: To był, jak rozumiem, pociąg kierowany jeszcze przez Niemców?

S.D.: Tak, Niemcy siedzieli w tych takich budkach. Oni się niczego nie spodziewali więc nim się zorientowali to myśmy ich bez niczego sprzątnęli. Reszta podniosła ręce do góry. Niektórzy to pozabierali stamtąd różne rzeczy, obrazy, i inne rzeczy. To były miliardowe sprawy! Wszystko tam było. To był ostatni pociąg ze zrabowanym z muzeów eksponatami. Tam były miliardowe sprawy! Ja słyszałem już po wojnie ilu Żydków naszych, którzy po polsku rozmawiali, w Antwerpii, miało różne słynne obrazy i inne rzeczy, takie za miliony. Niektórzy na froncie to więcej dbali o tą forszę, jak o swoje zdrowie. Ja liczyłem się z tym, że jutro mnie nie będzie. Naturalnie, że człowiek się nie pchał specjalnie tam, gdzie było niebezpiecznie. Tam, na tym pociągu tego było strasznie dużo, różnych rzeczy, obrazy, srebrne całe zastawy. Jedno to mi się

spodobało, ale to było za ciężkie, noże i widelce, ale piękne ze srebra. Ale to ważyło wszystko 36 kilogramów. To gdzie ja to miałem, na plecach, nosić? Obrazy piękne! Człowiek się cieszył, że tych Niemców się zatrzymało, poza tym to cała reszta nie była wtedy ważna.

J.Z.: Czy pamięta Pan może ze swojego szlaku jakiś moment, który najmocniej utkwił w Pańskiej pamięci, dla przykładu śmierć kolegi czy inne dramatyczne, tragiczne jakieś wydarzenie?

S.D.: Wiele jest takich rzeczy osobistych. Ja nie zapomnę nigdy, miałem kumpla, z Warszawy był. Kawał takiego chłopca. Myśmy wtedy siedzieli w Aldershot, to taka miejscowość gdzieśmy czekali na załadunek, w Anglii. Po kielichu whisky człowiek rozmawia. On mówi do mnie, że jak podczas wojny starci obojętnie czy lewą czy prawą nogę to muszę go zastrzelić. Mówiłem mu, że teraz tak mówi w sytuacji zupełnie mu nieznannej. Ale co będzie, jakbym ja to wykonał? On mi tłumaczy, że ja muszę itd. Buzia go chyba chciała przekonać, jak to naprawdę będzie, bo jak we Francji te bomby angielskie i amerykańskie na nas spadały to mu rzeczywiście r lewą nogę oderwało zupełnie. Ale on nie chciał, żebym go zastrzelił tylko szybko do czerwonego krzyża, żeby go ratować. Było trudno, ale lekarze go uratowali. Ten lekarz później po wojnie był w Bredzie też lekarzem. On był chirurgiem. Był dobrym lekarzem, znanym. Wszyscy ludzie z Bredy chcieli, żeby on ich operował.

J.Z.: Kiedy dywizja doszła już do Bredy i rozlokowała się tutaj na dłużej, jaki był Pana pierwszy kontakt z ludnością cywilną, jakie było podejście Holendrów, jak długo Pan był tutaj do momentu powrotu do Anglii, na szkołę podchorążych?

S.D.: Ja dostałem polecenie, żeby tych ludzi z trzech moździerzy ulokować na kwaterach. To było w czasie niemieckiej kontrofensywy Rundstedta w Ardenach. Moja żona była pierwszą Holenderką, którą zobaczyłem. Ja zatrzymałem się jeepem, wychodzę, a ona na dworze. Tutaj w Sprangkapelle, był taki w czasie wojny burmistrz, który wiózł przez miasto angielskiego pilota z tyłu na rowerze. Dlatego, że on to tak na bezczelnego robił, to nikt się nie spodziewał niczego podejrzanego. Niemcy go nie zatrzymywali. On był przyjacielem mojego późniejszego teścia. Ja te moje moździerze ulokowałem tutaj, w tym domu. W domu żony. Mieszkałem u nich

na kwaterze. Ja znalazłem dla chłopaków kwaterę, ale dla siebie najlepszą, bo oni się wyprowadzili, a ja zostałem tutaj na stałe.

Jak przyjechałem do Burger z Anglii, jako zasiłek do drużyny polskiej, w trakcie okupacji w Niemczech, to jeden z naszych chłopaków, Kwaśnik, ten właśnie, który z Francji do nas dołączył, to miał narzeczoną, z którą się miał żenić. Dostaliśmy zgodę żeby go odwiedzić do Francji, to było koło Lille. Myśmy trzy jeepy zabrali, rzeczy różnych, whisky, wszystkiego.

Kiedy wojna się kończyła to nasza dywizja była w Wilhelmshaven. Zdobyła to miasto. Jak ja dojechałem po podchorążówce to nasza dywizja stała w Meppen. Ze mną na podchorążówce był Wieliszek (Prezes Honorowy Polskiego Komitetu Olimpijskiego na Zagranicę, działacz sportowy polski w Holandii po drugiej wojnie światowej – przyp. J.Z.).

Wieliszek, dlatego że on pięknie umie opowiadać przy różnych okazjach, to on co roku dostaje gwiazdki. A za co ja mam teraz dostawać gwiazdki? Stopni i odznaczeń nie powinien dostawać człowiek w cywilu. Ja się z tym nie chciałem zgodzić absolutnie. Ja miałem odznaczenia wojenne, m.in. za wyzwolenie Gandawy i innych miejscowości, ale gdzieś mi one zginęły, czy mi je ktoś podebrał, nie mogę tego nigdzie znaleźć. Komu to było potrzebne? Przerzuciłem nie wiem ile rzeczy. Chciałbym je dostać na nowo, zapłacić za nie, ale tylko za te rzeczy do których ja mam prawo.

9 batalion strzelców flandryjskich stał wówczas w Burger. To jest w Niemczech. Ja po powrocie do Niemiec miałem się zgłosić do tej samej kompanii w której wcześniej byłem, do moździerzy. Oni czyścili moździerze, a ja grałem w piłkę nożną. Jak już to się skończyło to w Liehr, to jest duże miasto w Niemczech, mieliśmy tam kasyno oficerskie, muszę powiedzieć, że jedno z najpiękniejszych jakie istniało. Bo myśmy możliwość, ażeby wszędzie rekwirować piękne rzeczy. Nazywało się to „Oranije Hotel”, to jest po holendersku „Hotel holenderski”. Urządziliśmy coś wspaniałego, najdroższe obrazy. Jak Amerykanie przyjeżdżali to oczy gubili! Tak było pięknie zrobione.

Mnie tam nie bardzo stopnie wojskowe interesowały. Ja się tym nie interesowałem. Jak pierwszy raz przyjechałem do Anglii po wojnie w 1950 roku, to jeden sierżant z

naszej kompanii wsparcia, moździerz do mnie się rzucił i mówi: „Stasiu, ty przyjdiesz do nas, przecież ty jesteś naszym członkiem, dostaniesz natychmiast stopień wyższy.” itd. Ja mówię do niego: „Człowieku, czyś ty zwariował? Wojna się skończyła, za co mam dostawać? Za to, że żyję? Ja bym się cieszył, ale co to mnie interesuje?” No to on się na mnie pogniewał, mówił, że ja widocznie byłem za blisko komunistów. No ale to są inne sprawy.

J.Z.: Proszę powiedzieć, jakie były na co dzień stosunki między żołnierzami polskimi a niemiecką ludnością cywilną w trakcie służby okupacyjnej na terenie Niemiec? Jak panowie ich traktowaliście, jak oni do was podchodzili, czy z jakąś nieufnością, jak oni podchodzili do polskich żołnierzy?

S.D.: Ja panu powiem. Amerykanie i Anglicy to się dziwili, że na terenie zajmowanym przez Polaków nie ma żadnych zamieszek. Bo tam gdzie oni byli to dochodziło co jakiś czas do zamieszek, nawet się zdarzało, że z pistoletu strzelano z ukrycia. Myśmy Niemcom powiedzieli jasno, że o tej i o tej godzinie nikogo ma nie być na ulicy.

J.Z.: I przestrzegali tego?

S.D.: Przestrzegali. Jeden mój kolega, on już nie żyje, szkoda bo by coś mógł opowiedzieć. To był jeden z tych, którzy nazwisko mieli zmienione, bo on był wcześniej w Wehrmachcie. On w Burger poznał Niemkę, bardzo miłą dziewczę. Jej ojciec siedział cały czas w obozie niemieckim dla przeciwników Hitlera. Brata tego jej ojca Niemcy wykończyli, a on jakoś wyszedł cało. To musiało być wszystko dokładnie sprawdzone, żeby ten kolega dostał pozwolenie na zawarcie ślubu.

W pewnym momencie Niemcy w tym Burger wybili wszystkie okna, tam gdzie ona mieszkała. Ona miała brata, nie brata tylko syna. Dlatego, że pierwszy rok po ślubie Niemcy zabrali jej męża do wojska i on nigdy nie wrócił. Ten chłopak przyszedł i mówi do tego polskiego żołnierza, Wiktor Onorowski on się nazywał. Przyszedł do mnie i że te skurkozjady muszą dostać po dupie, bo wybili wszystkie okna. To ja pierwsze co zrobiłem poszedłem do kapitana Szeligi i mówię o wszystkim, pytam co robimy? A on mówi: „To ty się mnie pytasz? Masz wolną rękę, to jest twój żołnierz i twój przyjaciel to załatw to.” Myśmy poszli nad ranem, gdzieś godzina jakaś trzecia

była. Obudziliśmy jednego niemieckiego chłopaka, bez ubrania zabraliśmy na jeepa i poza miasto.

J.Z.: Ale czy to był ten, który szyby powybił?

S.D. Ten, który te szyby powybił. On zaczął płakać, że niby on nie chciał, że on tego nie robił. Myśmy mu powiedzieli: „Najpierw wykop sobie miejsce, gdzie będziesz leżał, wygodnie.” Ten chłopak płakał, aż mi się samemu głupio zrobiło. Ja mu powiedziałem O.K.

J.Z.: To był młody chłopak, tak?

S.D. Chłopak dwudziesto dwu letni. Kazałem mu powiedzieć z kim to zrobił. Wysłałem chłopaków po nich. Przyprowadzili dwóch. Powiedziałem im, że jeżeli jeszcze raz coś takiego zrobią, obojętnie kto to zrobi, oni za to odpowiadają. Pan sobie wyobraża, że oni tygodniami, na zmianę pilnowali, żeby nikt nie przyszedł. Ale oni wiedzieli ci ich czeka. I to jest jedyny sposób. Nie inaczej. Naturalnie, że niepotrzebnie się nie zastrzeli, ale Niemcy to mieli dużą buzię, jak oni silniejsi byli, trzech Niemców, jeden Polak. Bo na odwrót to już nie. Jak myśmy powiedzieli, że o tej i o tej godzinie nikogo ma nie być to wszystko było w porządku.

J.Z.: Czy zdarzały się jakieś czyny bezprawne z waszej strony?

S.D.: Nie. W tym Burger był taki proboszcz, który z kazalnicy mówił, że są ludzie, którzy trzymają w piwnicach kielbasę, inne rzeczy, a tylu innych ludzi nie ma co jeść. Kiedyś brat żony naszego Onorowskiego przyszedł i powiedział nam że u tego księdza jest kielbasa. Poszliśmy skrycie, zabraliśmy wszystko co tam było. Od tej pory już nie mówił takich kazań. A tam naprawdę tyle tego było, że on by tej kielbasy nawet za pięć lat nie zjadł. Ale myśmy nie robili takich rzeczy bezprawnych, u nas to było karane. Dostałby człowiek opierdół. Wojna jest wojną, ale się skończyła i koniec.

J.Z.: Jak długo Pan był na okupacji w Niemczech?

S.D.: Ja byłem długo, prawie jeden z ostatnich, bo jak mnie wysyłali do już większość dawno do Polski wyjechało. Tam gdzie ja byłem było biuro demobilizacyjne. Ci, którzy do Polski jechali to mogli zabrać co chcieli. Ile myśmy mieli tych rzeczy, podkoszulki wełniane, kalesony, koce, buty, wszystko. Anglicy to się cieszyli, jak myśmy to zabrali, bo inaczej to oni musieliby to pakować i do Anglii wywozić. Ja jak tu przyjechałem do Sprangkapelle to dwa jeepy przywiozłem towaru.

Tutaj wielu ludzi takich rzeczy nie widziała. Dwa nowe samochody na moim jeepie przywiozłem, skrzynie itd. Tego tutaj nie było, jak ktoś coś miał to był cud. Jak nasi koledzy jechali do Polski to na granicy niemiecko – polskiej Ruscy im wszystko zabierali. Mnie mówili ludzie którym mogę wierzyć, taki z Gdańska był, na nieszczęście zmarł, Żółkiewicz, on wrócił do Polski dlatego, że miał samotną matkę, staruszkę, i on chciał wrócić. On siedział, z tego co mi opowiadał, rok w więzieniu, bez tego, że ktoś z nim rozmawiał. Pod drzwiami mu dawali jeść. Po jakichś czterech miesiącach przyszła do niego milicja czy coś, dali mu pióro i powiedzieli: „Pisz.” On pyta, co ma pisać? Powiedzieli: „Pisz.” i poszli. Napisał nazwisko, datę urodzenia itd. Nie wiedział o co chodzi. Po godzinie przyszedł milicjant, jak mu nie dał w pysk. W pierwszym momencie chciał się na niego rzucić, ale ten drugi stał z cekaemem. Po jakimś czasie przyszedł podporucznik. Zobaczył, że go pobili, pyta wściekły kto go pobił. Poleciał, kazał tym swoim żołnierzom przyjść i pyta ich kolejno, który to zrobił. Żaden z nich się nie przyznawał, to jak nie wpieprzył temu mojemu koledze, tak że ten myślał, że już nie wyjdzie stamtąd.

Ja nie miałem czasu na dziewczyny się oglądać, ale i ta rodzina żony była bardzo dobra. Matka jej specjalnie Boże Narodzenie o jeden dzień przełożyła, dlatego bo myśmy szli 24 grudnia nad Mozę.

Rozmowa z Ludwikiem Staszkiem ps. „Tekla”, 23 września 1999r.

L. S.: Zaczynamy od 1939 roku. Miałem wtenczas 17 lat. Jako harcerz już pracowałem na kilka tygodni przed wojną w Lidze Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej. Miałem skończony kurs, nawet świadectwo mam jeszcze tutaj w domu. Więc wojna przyszła, Niemcy do nas weszli. Do świąt się człowiek jako tako obijał, no bo nic nie było do roboty, a po świątach, to już 1940 rok, w styczniu, dostałem wezwanie stawienia się na transport i wywieźli mnie do Brandenburga. Za Berlinem. Tam był duży obóz polski, nowiuteńki. Przyjechało nas wszystkich razem 750 Polaków. A że ja byłem już rok po szkole budowlanej, więc przydzielili mnie do firmy budowlanej tam. Była to w Brandenburgu duża stalownia. Część kolegów do stalowni została przydzielona, a myśmy przydział dostali do tej firmy budowlanej. Budowaliśmy nową dużą halę, jedną i drugą.

Przyjechaliśmy do tego Brandenburga, były tam nowe baraki. Brama wejściowa, ale nie było kolczastego drutu tylko normalny płot. Było wolno tylko do dziesiątej wieczorem się poruszać. I z początku było możliwie.

J.Z.: Czy miał Pan możliwość wychodzenia z terenu tego obozu, czy trzeba było stale być na tym terenie obozowym?

L.S.: Mieliśmy prawo wychodzić kiedy się chciało, ale tylko do dziesiątej wieczorem. A było tylko drogę przekroczyć i była fabryka. Szliśmy do tej pracy, no tam nas poprzydzielano. Ja zostałem przydzielony do takiej brygady Ślązaków. Z Raciborza, z tych stron, z Raciborza. Dziwne było bo oni rozmawiali tym naszym śląskim, tą naszą śląską gwara, żargonem, a ja z nimi nie mogłem rozmawiać, bo zaraz tam krzyczeli ci Niemcy. Niemcy nie pozwalali, bo mówili: „Ty jesteś Polak, to ty po polsku mówisz, a oni mówią po śląsku.” Tam przez trzy lata byłem, nauczyłem się dobrego fachu. Byłem tam od 1940 roku do 1942. Przed 16 października 1942 roku dostałem powołanie w Brandenburgu do koszar, stawić się na powołanie do wojska, do badania lekarskiego. Poszedłem tam, nie miałem innych papierów tylko te jakie dostałem do tej fabryki. Miałem „P” na ubraniu. Nie puścili mnie przez wejście. Ja się też nie pcham. Dopiero zawołał tam jakiegoś dowódcę warty, kapitana, on też nie chciał mnie wpuścić. Zadzwonili na policję, tą dla obcokrajowców. Dopiero ten

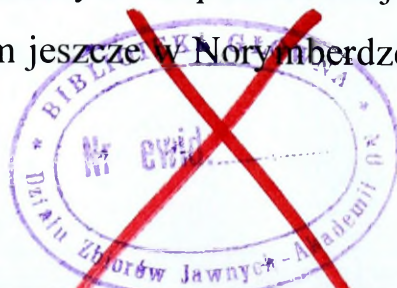
przyszedł i dopiero on mi to „P” odpiął. Poszedłem do koszar, na badania. To było ze dwa tygodnie, no a później, albo cztery tygodnie, bo dwa tygodnie do 16 października dostałem powołanie do Poczdamu, do grenadierów pancernych. Już do wojska. No ale całe trzy miesiące nie byłem w domu, to mówię szlus ze wszystkim, jadę do domu. Pojechałem do domu, później po dwóch tygodniach, 16 października przyjechałem do tego Poczdamu. Piękne koszary, pod tym zamkiem dużym. No i tam zaczęło się.

Ja byłem po południu, bo tak mi pociąg pasował, a wieczorem przyprowadzili ze sto pięćdziesiąt chłopów, wszystko z Pomorza. Tam chłopiny były do 55 lat. Paru młodych. Byli nawet i tacy, którzy słowa po niemiecku nie umieli. No i zaczęło się normalnie, to, to, to, rozmowy. A miałem kolegę dobrego z piechoty marynarki, który walczył na Westerplatte. To był taki chłopak, który mi dużo pomagał. Znał się na wszystkim. Jak przyszły jakieś ćwiczenia to szybko razem żeśmy zrobili, a Niemcy dostawali na to tyle samo czasu. Dawaliśmy tym Niemcom tym samym w skórę.

J.Z.: Przepraszam, że wejdę Panu w słowo, ale proszę mi powiedzieć, jak wyglądały stosunki między żołnierzami w Pana drużynie, w Pana plutonie. Byli przecież w jednym plutonie ludzie ze Śląska, z Pomorza, a byli także Niemcy. Jak oni się odnosili do Pana osobiście, przecież wiedzieli, że Pan jest Polakiem, że ci z Pomorza też nie mówili czystym językiem niemieckim.

L. S.: Ja mówiłem dobrze po niemiecku i to tym akcentem brandenburskim, więc wszyscy myśleli, że ja jestem stamtąd. A jak się pytali o moje miejsce urodzenia to Bronów nazywał się Braunau. To myśleli, że ja się urodziłem tam gdzie ich wódz. Ja mówię, jak się wejdzie między wrony musisz krakać, jak i one. Bo wiedziałem co może być, jak by się człowiek kontra stawiał.

Krótko przed świętami Bożego Narodzenia pojechaliśmy na manewry w okolice Kożuchowa. Pamiętam, że śnieg pół metrowy leżał. Tam zrobiłem prawo jazdy na motocykl. Tydzień przed świętami przyjechaliśmy do Poczdamu i od razu ten w prawo, ten w lewo. Sortują nas. Na wschód i na zachód. Na szczęście dostałem się z tym moim kolegą i paru jeszcze na zachód. To było w grudniu 1942 roku. Przed świętami Bożego Narodzenia. Sformowaliśmy kompanię, załadowali nas na pociąg i byliśmy pierwszym wojskiem niemieckim, które wkroczyło do południowej Francji. Bo południe Francji jeszcze nie było zajęte. Pamiętam jeszcze w Norymberdze pociąg



stanął w Wigilię, wyszliśmy wszyscy na peron, dowódca przemówił, każdy dostał ładny pakunek, koniaku i wina. No i przyjechaliśmy do południowej Francji, dokładnie który to dworzec kolejowy był to nie wiem, ale koło Carcasone. I tam żeśmy na kwatery poszli. Zaczęły się normalne ćwiczenia. Mielśmy taki drobny wypadek, bo w pierwsze święto poszliśmy do kościoła francuskiego. Do katolickiego kościoła. I nawet paru podoficerów niemieckich z Nadrenii też, katolików. I z kościoła nas policja wojskowa wyciągnęła. A my Polacy, „Nicht fersteien”, nie rozumiemy. Jednych od razu wysłali na wschód, a myśmy zostali. Powiedzieli, że tego nie wolno. To i to, ale myśmy powiedzieli, że nie znamy przecież waszych przepisów. Mówimy im, że przecież na pasie pisze „Got mit uns”, Bóg z nami, a tu nie można, co to znaczy? No i przeszło jako tako.

I tam zaczęły się ćwiczenia...

J. Z.: Przepraszam, jeszcze na chwilę wróćmy do tej historii z wyjściem do kościoła. Wybierając się do kościoła wiedzieliście panowie, że tego wam nie wolno?

L.S.: Tak, trochę wiedzieliśmy. Jak jeszcze w Poczdamie byliśmy to tam zaprowadzili do kościoła, protestantów oddzielnie, katolików oddzielnie.

Zaczęły się tam ćwiczenia. Porozdzielali nas po różnych pododdziałach. No i później wszystkich drwali, cieśli, mnie jako budowlańca, wysłali nas do dowództwa batalionu i zrobili z nas pluton pionierów. I wysłali nas na sześciotygodniowy kurs do Francji nad Loarę. Tam robiliśmy wszystko to co pionier powinien, a więc kładliśmy miny, robiliśmy kładki, przeprawy. Dobrze było, mieszkało się w hotelu, dostało się tam dobrze jeść, była obsługa. Znowu do batalionu, już jako pluton pionierów. Przy batalionie była zawsze lżejsza służba. Przeprowadziliśmy się dalej na zachód Francji, wzdłuż Pirenejów. Pod samą hiszpańską granicą, u tych Basków. Tam całe lato człowiek, no całe lato nie, ale prawie całe lato przeszły ćwiczenia, aż przyszedł czas i wywieźli nas transportem do Włoch. Przyjechaliśmy do Włoch środkowych. Takie namiociki się postawiło, cała kompania tak biwakowała. To było w pobliżu Arezo, niedaleko takie ładne miasto było, już zapomniałem nazwy. Tam myśmy mieli ćwiczenia. Stamtąd pojechaliśmy aż poza Rzym. Nad rzekę Wolturno. Tam w pobliżu była piękna plaża. Terrazina, tak to pamiętam. Terrazina. No i tam pomału zaczęliśmy nad tą rzeką robić okopy, bunkry budować. Tak ze dwa tygodnie zeszło, ale winogrona

już były dojrzałe więc żeśmy tymi winogronami się żywili. Nad tą rzeką pole winogron. Tylko człowiek zrobił to źle, że najpierw naokoło siebie poobrywał a później, jak już był pod ogniem to trzeba było daleko chodzić po te winogrona.

W naszym bunkrze ja byłem, był starszy sierżant, dowódca naszego plutonu pionierów, był goniec pieszy i sanitariusz. Myśmy tam sobie spali i w pewnym momencie dostaliśmy dwa duże granaty amerykańskie. Mieliśmy wyjście przy takim grubym dębie, jak później zobaczyłem, to kora była od góry na dół zerwana. Jeden był zabity przy wyjściu, a nas przysypało. Dowódca był oszołomiony, ale to z tego huk. Zaczął nas kopać, bo on myślał, że już wszystko zabite. A ten sanitariusz leżał na mnie, już też myślałem, że w siódmym niebie jestem. Zaczął mnie ciągnąć, trochę ruszyłem nogami, odkopał mnie. Ten sanitariusz był ciężko ranny, miał całe płuca roztrzaskane. Wziąłem jego torbę i jak mogłem to zabandażowałem, trzeba go było na motockłowej przyczepce na noszach przez góry odwieźć.

No i cofamy się. A miałem takiego młodego Niemca przy sobie, tak mnie pilnował. Myślałem, jakby tu wrócić się, jak przyjdzie okazja to tego, nie. No i wróciliśmy. Tam jeszcze parę dni przez te góry szliśmy, gdzieś w lesie nas włożyli we front, jako piechotę. Pewien odcinek nam dali koło drogi. Tam nam Amerykanie dobrze rąbali artylerią.

J.Z.: Czy Pan pamięta w jakiej jednostce pan wtedy służył, czy to była dywizja piechoty?

L.S.: Pamiętam numer poczty polowej. Tego nie zapomnę nigdy. To była dywizja grenadierów pancernych.

Dostaliśmy takie wzgórze. Kontratak i Amerykanie się cofnęli. I ten nasz pluton to wzgórze zajął. Dowódca mnie wysłał do tyłu, do dowódcy, powiedzieć, że nie mamy amunicji i dowiedzieć się co mamy robić. No a ten dał rozkaz trzymać za każdą cenę. Ledwo przyszedłem do niego a Amerykanie ponownie. Jak strzelanina! No i tylko ten dał rozkaz, kto może w nogi. Dowódca plutonu. A ja już czuję, że nie mogę wstać. Że mi tam po plecaku, po masce gazowej strzelają. No i tak zostałem. Zrobił się wieczór. Zasnąłem w tych krzakach. Przebudziłem się w nocy, patrzę, lufa karabinu ciężkiego maszynowego nad moją głową. Włosi takie wały z kamieni robili, tam było pełno pokrzyw, ostrężyn. Miałem już przygotowaną białą chusteczkę na wszelki wypadek,

pomachałem. Mówią: „Chodź tu, chodź tu.” Po polsku. Odprowadzili mnie do tyłu, tam był taki kapitan, dobrze po niemiecku mówił. Pierwsze to pytał czy znam te pola minowe, które położyliśmy przed rzeką. Rzeką była pół metra głęboka, kamienie, tak, że czołgi mogły przejechać, nawet nie trzeba było mostów budować. Dali mi taki stary mundur i tak trzy tygodnie z nimi byłem tam. To byli Amerykanie, ale tam byli różni, między innymi Ukraińcy. Kiepsko po polsku mówili, ale dużo ich mówiło. Jeździłem z nimi i tylko miny kazali mi pokazywać. Po trzech tygodniach mówią, że muszą mnie odwieźć do Neapolu bo jest transport. No dobrze. Odwieźli mnie do Neapolu, na statek, tam wszystkich tych niewolników pozbierali. I z Neapolu do Algierii. Nie, do Oranu. Sorry! Do Oranu nas przywieźli, z Oranu pociągiem do Algierii. W Algierii był duży obóz. Ale od razu przyszedł polski oficer łącznikowy, który tam był, i od razu mówił, kto jest Polakiem, czuje się Polakiem i chce iść do wojska to ma od razu wystąpić, bo jak się Niemcy dowiedzą to będzie źle. Były takie przypadki, że ktoś się zgłosił, powiedzieli, że następnego dnia po niego przyjadą, a już go nie było. Jak się ktoś zdecydował to od razu musiał wyjść.

Odwieźli nas do tego obozu. Tam nas dosyć dużo było, jakieś 150 chłopów. Tam myśmy byli dosyć długo. Jakies ćwiczenia mieliśmy, aż przyszedł transport do Anglii.

J.Z.: Jak ten nabór do wojska polskiego technicznie wyglądał?

L.S.: Kto się zdecydował to od razu wychodził z szeregu. 16 października 1942 roku wzięli mnie do wojska i dokładnie 16 października 1943 roku udało mi się uciec. Równy rok służyłem.

Pojechaliśmy do Algieru. Załadowali nas na duży statek, bo cztero kominowy, duży. „Monarch of Bermuda”. Jechaliśmy oczywiście jako jeńcy. Z Algieru pojechaliśmy na Gibraltar, tam się stworzył konwój i wypłynęliśmy konwojem. Pod wieczór nas tam jakaś łódź podwodna rąbnęła, ale nie było dużo szkody, tylko statek nie mógł podjąć dalszej podróży, więc wróciliśmy do Gibraltar. Tam miałem trochę stracha, bo tam Niemcy codziennie, co noc przylatywali i bombardowali. Ale jakoś to przeszło. Zareperowali, poreperowali te dziury i popłynęliśmy do Anglii. Mieliśmy szczęście bo był sztorm straszny, była burza na Atlantyku. No a to jest naprawdę burza, jak człowiek tego nie widział to nie uwierzy. To był taki duży statek, a jak wyszedł na falę to było wszystkie cztery śruby widać! Jak szedł na fale to tylko

trzeszczało. Albo się połamie, albo nie! No ale mniejsza o to. Dopłynęliśmy do Liverpoolu, krótko przed Bożym Narodzeniem, tak, że na wigilię byliśmy już w Edynburgu, w tym zamku, tam był taki przejściowy obóz. Tam nas jakieś dwa tygodnie trzymali i ten wywiad angielski się nami zajmował. Dziesięć dni mnie przynajmniej męczyli tam. Właśnie o tej fabryce w Brandenburgu. Wszystkie szczegóły, szkice robiłem pytali co tam się robiło, jak to i to. Codziennie mnie tam trzymał taki kapitan.

J.Z.: Chciałbym zapytać Pana jeszcze o służbę w armii niemieckiej, przede wszystkim proszę powiedzieć w jakim stopniu wojskowym ją Pan zakończył?

L.S.: Starszego strzelca.

J.Z.: Jakież odznaczenia niemieckie Pan otrzymał?

L.S.: Nie, nie.

J.Z.: Czy w pańskiej jednostce ktoś wiedział, że Pan jest Polakiem?

L.S.: Nie, nie wiedzieli.

J.Z.: Czyli funkcjonował Pan normalnie, wszyscy byli przekonani, że jest Pan Niemcem?

L.S.: Jeszcze jak byliśmy we Francji to przychodził tam taki chłopak z francuskiego ruchu oporu. On wiedział, że ja jestem Polakiem i nawet mówił, że mogą mnie przeprowadzić do Hiszpanii. Ale od razu mi powiedzieli co czeka rodzinę. To trzeba jednak taki odpowiedni moment znaleźć. Matka dostała wtedy po moim przejściu, od Niemców wiadomość oficjalną, że zaginałem, więc nie wiedzieli co jest. Dopiero jak w niewoli amerykańskiej byliśmy to dostaliśmy od Amerykanów takie pocztówki, które trzeba było wypełnić, że jestem w niewoli amerykańskiej, jestem zdrow. Pozdrowienia i to poszło do rodziny. Tak, że wiedzieli, że jestem w niewoli.

Przyjechaliśmy do Liverpoolu, tam mnie wypytywali, pytali nie wszystkich, ale tych, którzy w jakichś ważniejszych punktach pracowali itd. Tam mnie tak dziesięć dni męczył. W Edynburgu. W tym zamku. No i tam po dziesięciu dniach ten oficer przyniósł zdjęcia lotnicze tej fabryki, powiedział, że wszystko bardzo dobrze, że w porządku.

J.Z.: Czy to były zdjęcia lotnicze właśnie tej fabryki w Brandenburgu?

L.S.: Tak. Fabryki i okolic, bo tam była fabryka samolotów, Opla fabryka. Więc to się wszystko zgadzało. No i stamtąd przyjechaliśmy, przydzieleni do różnych oddziałów wojska. Ja chciałem iść do czołgów, na kierowcę. Przyszedł jakiś kapitan i powiedział, że potrzebują dużo chłopców do 10 pułku strzelców konnych. Ja mówię: „Dajcie mi spokój. Ja do koni nie pójdę.” Aż mi powiedział, że to nie takie konie! To mówię wtedy, że pójdę do saperów, do pionierów. A on powiedział, że to jeszcze lepiej, bo tam potrzebują też dobrych specjalistów. Poszedłem do 10 kompanii saperów, w styczniu. No i zaczęły się ćwiczenia. To był styczeń 1944 roku.

J.Z.: Czy kiedy Pan przeszedł już do wojska polskiego, czy Pana przełożeni i koledzy wiedzieli, że trafił Pan z armii niemieckiej?

L.S.: Wiedzieli, wiedzieli wszystko.

J.Z.: Jaki był ich stosunek do Pana? Czy nie było jakichś uszczypliwych uwag na przykład pod Pana adresem?

L.S.: Nie, tego nie było. Stosunek był bardzo dobry. Myśmy mieli dowódcę plutonu, porucznik Jasiński. Nie było różnic między żołnierzami.

Z Angielskimi żołnierzami też się dobrze układało. Za wiele z nimi nie mogłem porozmawiać, ponieważ nie znałem języka angielskiego. Dziwili się tylko niektórzy, że mam dopiero 20 lat a mam już starszego strzelca.

J.Z.: Jak wyglądało porównanie wyposażenia żołnierza niemieckiego w porównaniu z wyposażeniem żołnierza polskiego w Wielkiej Brytanii? Czy Pan odczuwał może jakieś braki w zakresie wyekwipowania? Jak wyglądało wyżywienie, inne kwestie takie codzienne?

L.S.: Jedzenie było dobre. Człowiek się musiał przyzwyczaić do tej margaryny ich, ale dobrze było. Nie, jedzenie było dobre i wystarczająco było. To samo mundury i wszystko to było OK.

J.Z.: Czy nie brakowało Panu na przykład opieki medycznej, spraw związanych z działalnością oświatową, kulturalną?

L.S.: Nie. Jak tylko człowiek potrzebował iść do lekarza, do dentysty, to się meldowało, sanitariusz kompanijny jeździł codziennie, wóz był specjalny do lekarza. Opieka nad żołnierzami była dobrze zorganizowana. Co niedzielę przyjeżdżał kapelan.

Stosunki między kolegami były bardzo dobre. Ja interesowałem się sportem, siatkówką, piłką nożną, pływaniem, no ale tam nie było w czym pływać. Może i było, ale zimno było. No i tak upływał czas, aż dostaliśmy nowy materiał przed inwazją. Zostaliśmy przeniesieni tam do Yorkshire. Stamtąd pod Londyn, do Aldershot. Na statek. No i przyjechaliśmy. Dopłynęliśmy do Francji, na to sztuczne moło, które Anglicy robili tam na tym wybrzeżu. Tam się wyładowaliśmy i od razu...

J.Z.: Czy pamięta Pan którego dnia stanął Pan na francuskiej ziemi po raz pierwszy?

L.S.: Dokładnie nie pamiętam. Tych dat człowiek nie pamięta. Nie zapisywałem. Pamiętam tylko, że 8 sierpnia o dwunastej żeśmy zaczęli, weszliśmy do walki. Więc byliśmy przydzieleni, mój pluton, do 10 psk, do czołgów. Zaraz piętnaście po dwunastej mieliśmy pierwszego zabitego. To pamiętam. Przyjechał kapitan, dowódca „Shermanów”, i jak on wyskakiwał w tym momencie padł granat. W tym samym momencie on skoczył na ziemię i ten granat padł. To był pierwszy chyba, który zginął. No i tak później my szli. Trzy czy cztery dni. Dostaliśmy później zwolnienie, poszliśmy do tyłu żeby się podreperować. Pojechaliśmy do tyłu to od razu pan kucharz przyszedł, kartofle obierać. A chłopcy od razu na niego! „Teraz ty pójdziesz na cztery dni na front, a my będziemy kuchnię prowadzić.” Od razu się uciszył! Tak, bo oni na front nie chcieli. Byli tam różni kierowcy innych wozów, ciężarówek itp., no to musieli to robić, ale jak myśmy cztery dni i noce na froncie siedzieli, to przecież człowiek nie ogolony, nie umyty.

No i tak się szło pomału. Przeważnie z tymi czołgami. Później pierwszy most zbudowaliśmy. Była rzeka dosyć głęboka, niektóre czołgi przeszły „na wplaw”, ale bali się. Tośmy wybudowali most. Tam nas Niemcy dobrze wymacali. Jak żeśmy most skończyli. Mieli dobrą obserwację, bo jak żeśmy most skończyli zaczęli rąbać. Kolega z regulacji ruchu stał na moście, żeby ruchem kierować. Rąbnął granat, został zabity. Od nas jakiś był ranny. Most trochę uszkodzili, później go trzeba było spawać. Ale nic. Poszliśmy dalej.

Tak się szło aż pod Falaise. Tam później człowiek był też odosobniony od wszystkiego, musiał się sam troszczyć i dbać o siebie, bo nie było wiadomo gdzie kto i co. A po tym wszystkim mieliśmy bardzo dużo pracy. Jak te drogi przecież były zapchane. Niemcy chcieli się wyrwać, więc tu czterystu Niemców, tu pięćset, czołg

jeden czy dwa. Chcieli się przepchać. A nasze czołgi, samoloty na to, i to wszystko leżało na drodze. A tu gorąc taki w sierpniu, więc proszę sobie wyobrazić, jak to wyglądało. I to była nasza robota właśnie, saperów, te drogi jak najszybciej naprawiać, reperować. To wszystko i konie i czołgi i wozy. Tak, że mieliśmy dużo roboty. Jak się skończyło to musieliśmy jeszcze pomagać przeszukiwać wszystko, bo tam dużo krzaków i tego, za rannymi. Przeszukaliśmy to wszystko, zwozili rannych naszych i Niemców. Wpierw naszych oczywiście, a później Niemców.

Później znowu zaczęliśmy jechać, aż pod Sekwanę. W Abbeville wpierw. Też było dosyć ciężko. Musieliśmy duży most zbudować. Tośmy w dwie kompanie razem budowali, 10 i 11. Dwa dni. Ale to Ren, szeroka woda i człowiek mówi, jak to utrzyma, jak ten czołg jechał po tym. Pontony bujały się. Później była dalsza podróż. I już później nawet trzydzieści, czterdzieści kilometrów dziennie szło się naprzód. Aż człowiek wieczorem musiał kuchni szukać. Bo się stało trzydzieści kilometrów dalej. Wiedział wcześniej gdzie kuchnia była, ale oni też się posuwali tam z tyłu za nami. Ale przyjemnie było, bo przez wszystkie wioski się przejeżdżało. Ludzie wychodzili z winem, z koniakiem, Francuzi.

J.Z.: Jak wyglądał ten pierwszy kontakt z ludnością cywilną francuską, zapewne było to bardzo spontaniczne i serdeczne. Jak Pan to odbierał?

L.S.: Wszystko było na wesoło. Bardzo serdecznie. Jechało się, trzeba było gdzieś jakieś dziury zakopać, coś naprawić.

J.Z.: Czy ma Pan z tego okresu jakąś ciekawą historię, jakieś specjalne wspomnienie?

L.S.: Tak, naturalnie. Byliśmy koło Lille. Jak jechaliśmy na Belgię. Dostałem tam rozkaz od porucznika pojechać na skrzyżowanie i pokierować ruchem. Przyjechałem na skrzyżowanie, a nie było po mnie widać, że jestem Polak. Bo to „Poland” na rękawie pod płaszczem motocyklowym nie było widoczne. To z tyłu, na motocyklu, to było też zakurzone. No i przyjeżdżam tam a ludzi masa! I młodych i starych. I tylko krzyczą „Vivat Anglicy!”, „Niech żyją Anglicy”, a mnie to zdenerwowało i jak tylko umiałem, tak powiedziałem, że to nie Anglicy, że to Polacy!. „A to pan Polak?” Ja mówię, że tak, wszystko co teraz przyjedzie to Polacy. Nie dojechali dalej jak do tego skrzyżowania, wpierw musiały te panny wszystkich pocałować. Na te czołgi

wskakiwali, nasi chłopcy mieli wiele radości. Ale trzeba było jechać dalej. Aż dojechaliśmy do granicy belgijskiej. Przyjechaliśmy pod wieczór do Russerale. W takim ogrodzie postawiliśmy namiot. Pod wieczór przyszedł do nas Belg, mówi że syn mu się urodził i zaprasza nas na chrzciny. Tośmy poszli tam we czwórkę. Rano dopiero wróciliśmy. Ile myśmy tego koniaku tam wychlali! Mógł człowiek wtedy wypić. Za tego małego. Taka okazja!

No i później szło się dalej. Thielt, Ypres, Gandawa. W Gandawie staliśmy ze 14 dni. W centrum miasta, w takim parku. Później się rozjeżdżaliśmy po różnych obiektach, bo trzeba było to zbudować, to miny rozebrać. Tak, że człowiek miał dużo kontaktu z ludnością cywilną. W Ypres mnie takie panny, już dorosłe, capnęły na motocyklu. Wzięły mnie do góry i do restauracji. Tak!

No i jechało się dalej. A w Gent było ze dwa tygodnie. Później wyruszyliśmy na Axel. Tam trzeba było most budować. Skibiński to opisuje. To było dosyć trudno. I tam trochę nasz dowódca nawalił, bo mu brakło mostu.

J.Z.: Jak czytał Pan książkę Skibińskiego „Axel” to miał Pan poczucie, że wszystko jest tam dokładnie odzwierciedlone?

L.S.: Tak. Dokładnie odzwierciedlone. Axel, później Terneuzen przejechaliśmy. Tutaj podjechałem motocyklem do śluz. Tam był ten zarządca tych śluz, no i powiada, że tam Niemcy coś założyli na dole. Ja mówię, zobaczymy. No ale sam nie dam rady. Pojechałem po porucznika. Ale przedtem jeszcze pokazywał, z dala było widać barki na wodzie. No i mówi, że to są Niemcy, którzy uciekają. I w tym momencie przyjeżdża jeep z lotnictwa. Z dowództwa naszej eskadry. I mówię mu to. A ona zaraz za radio. No i chyba za pięć, sześć minut przylecieli. Jak zaczęli nad tymi Niemcami kołować, strzelać. On mówił tam po imieniu do tych swoich lotników: „Janek, Józek. Żadna czapka nie śmie pływać po wodzie!” I to właśnie, może w zeszłym roku, Niemcy właśnie opowiadali swoje przeżycia. Dużo patrzę na niemiecką telewizję. I właśnie jakiś kapitan niemiecki opowiadał, że niby bezbronni byli na wodzie. Ja myślę sobie: „Człowieku, ja bym chciał z tobą porozmawiać.” Dobrze ich tam przetrzebili.

No i stamtąd znowu w stronę Gandawy.

J.Z.: Skibiński opisuje w swojej książce „Axel”, że tam nawet z czołgów strzelali do tych Niemców na barkach.

L.S.: Tak! Do tych, które były bliżej, ale później nie mogli ich osiągnąć. Było widać tylko sylwetki, a te samoloty jeszcze dobrze ich tam...

Zawsze chodziłem do Axel, a teraz, w tym roku nie wiem. Muszę iść do lekarza specjalisty i nie wiem co mi powie. Ale mniejsza o to.

Stamtąd powróciliśmy do Gent. I była mowa, że musimy przynajmniej na czternaście dni zgromadzić amunicji, wszystkiego. Że pojedziemy właśnie tam pod Nijmegen. Eindhoven było już wyzwolone. Ale później to nie przeszło. Ja myślę, że jak byśmy wtedy tam pojechali to by się cała ta inwazja spadochronowa udała lepiej. A tak nie było tam nic.

Później ruszyliśmy przez Belgię w stronę Baarle – Nassau, nad holenderską granicę. I tam nas troszeczkę przytrzymali. Anglicy się wrócili, Niemcy mieli czas, zaminowali wszystko w tych lasach na granicy holendersko – belgijskiej. Dużo, dużo trzeba było się narobić zanim się dostali do Baarle – Nassau. To też teraz będzie początkiem października rocznica wyzwolenia. Pamiętam byłem w samym przedzie, w jakiejś drużynie. Z dowództwa czołgów ktoś tam był i mówi do mnie: „Panie starszy saper jedź Pan po waszego dowódcę, bo tu nie możecie tak sami coś robić.” Nie można się było na krok ruszyć, tak było zaminowane. Sami nic byśmy nie zrobili. Pojechałem tymi leśnymi ścieżkami. Melduję panu majorowi. Pan major oczywiście wzywa kapitana. Posłał go wozem pancernym. W pewnym momencie pada parę granatów. Patrzą stoją. Kiwa na mnie. Wracam się na motocyklu. „Proszę zameldować panu pułkownikowi, że nie można dojechać z powodu silnego ognia.” Co pan pomyśli o tym? Ja na motocyklu a on w wozie pancernym. Powiedziałem swoje i od tego czasu straciłem moją dobrą opinię. Później miałem dostać kaprała, jak już ześmy w Bredzie stali, ale to nie przejdzie. Wykluczone. No, ale to nic, mniejsza o to. Człowiek był przyzwyczajony, że granaty padają. A oni się po prostu bali. Tam był taki przedwojenny dowódca kompanii, major Neklarz, to on się więcej o siebie martwił, jak o swoją kompanię. O swoje wygody.

Szliśmy w stronę Baarle – Nassau, dalej w stronę tamtejszego lotniska, 29 października w niedzielę przyjechałem do Bredy. Miałem pluton za sobą, cztery traki, przyjechaliśmy na ten Wilhelminy most, na taki plac. To był pierwszy most, który musieliśmy przeszukać, sprawdzić czy nie był zaminowany. Jechaliśmy wzdłuż

kanalu, zostawiłem tam drużynę, wziąłem trzy z sobą, jeszcze nie było tyle mostów, jak teraz. Były jeden, dwa, trzy mosty, cztery. Jechaliśmy tak i przy każdym moście zostawiałem sekcję. Dopiero na ostatnim moście była zapora zrobiona. Niemcy zrobili. Kupa drzewa. Ale to cywile rozebrali, nasi tylko zobaczyli czy nie ma min, albo czegoś. A cywile zaraz to rozebrali bo każdemu drzewo było potrzebne na opał. No i tak. No i jadę dalej, wzdłuż tego kanału. W pewnym momencie patrzę, przecież dopiero stąd wyjechałem. A mapy dokładnej nie miałem, mówię, co jest do pioruna! Później dopiero się przekonałem, że w kółko jeżdżę! No i w pewnym momencie były przy każdym moście identyczne, takie same, po drugiej stronie do Bredy, dwie ulice. Ładne drzewa, wysokie, teraz tego nie ma. Identycznie te same. I też się na tym pomyliłem. Nie wiem gdzie jestem, ale zaraz człowiek znalazł właściwą drogę.

Z Bredy pojechaliśmy później na przeprawę w Boeck. Nad Mark – Kanal. Tam staliśmy z plutonem w odwodzie w tej wiosce. A ja musiałem dowozić sprzęt do kanału. 11 kompania tam budowała człony, a ja miałem materiał Anglików tam w Princebeck.. Po kolei, co było trzeba, woziłem. Ale jak wyjechało się kawałek za wieś to już artyleria niemiecka nas dosięgała. Już ledwie poza wsią nas dosięgała. Tak że ciężko było tam dojeżdżać, ale jakoś było. Widzieliśmy sami, że tam nie było miejsca na przejście. Na przeprawę. Z tej strony było dobre dojście, bo tam statki i te barki przyjeżdżały ze zwirem, piaskiem. I to było dobre. Tam można było robić, ale po drugiej stronie były moczary, łąka. No jakżeż tam czołgi posłać. A przecież był ładny znowu na drugim kanale, w stronę Moerdijk było lepsze przejście, bo tu z tej i z tej strony były twarde podejścia. No ale nic. Nie udało się. W nocy z 2 na 3 listopada zaczęliśmy tutaj na Wilhelmina Kanal robić przejście. Ale kanał jest głęboki. Ja musiałem buldożer przywieźć. On zaczął najpierw robić zjazd skośno na dół, dopiero mogliśmy przynosić pontony i zacząć budować most. Dopiero jak był most zrobiony na drugą stronę ten buldożer pojechał i znowu robił wyjazd do góry. Wtenczas ruszyli, piechota ruszyła. Czołgi przeszły, no i na drugi dzień, czy dwa dni później ruszyliśmy w stronę Mordijk. Pierwsza wioska była Terhijde. Mój pluton był przydzielony do pułkownika Szydłowskiego. Rzadko żeśmy szli z piechotą, ale wtenczas tak. Przez Waal i nad Mozę. Tam żeśmy nad Mozą wszystko robili co potrzeba. Parę czołgów ugrzęzło to trzeba było wyciągać. No i z powrotem staliśmy koło Bredy w klasztorze.

Nasza kwatera tam była. Stamtąd ześmy wyruszali. Całą zimę i przeważnie nocą. Saperzy. Stale była robota. To zrobić, to, to. Pozakładać miny. Dla piechoty te ostrzegawcze światła, przeprawy, kładki robiliśmy. Było co noc prawie co robić. Pracy dużo było. I nie wolno nam było jeździć stale tą samą drogą. Były trzy drogi dojazdowe, raz się tą brało, raz tą, raz tą. I było nawet, nocą, jak człowiek jechał sam, między Oosterhout a Mozą, że żywej duszy nie było. A patrolki niemieckie przechodziły. W Oosterhout ześmy taki wysoki most zrobili. Jak ten most przejechałem w stronę Bredy, drogę znałem, betonowa droga. To teraz sobie zapale światło i do klasztoru. I tam taki krzyż stoi, i koło tego krzyża jak mi puści serię przed kołem przednim. Tylko widziałem jak lecą iskry po betonie! Światło zgasilem i w nogi! Co będę robił sam?

J.Z.: Jakiś niemiecki patrol tam grasował?

L.S.: Patrol był, tak. Tak całą zimę ześmy przeżyli. W Wigilię 1944 roku w tym klasztorze nam ten brat, to był kucharz, zrobił nam wszystko. Daliśmy mu wszystko, zrobił nam wigilię. Była duża sala, jak w klasztorze, kaplica duża tam była. Pan major wyszedł, zaczął jakąś przemowę robić. Przychodzi radiowiec, podaje mu meldunek. Pan major mówi: „Baczność! Kompania za 20 minut gotowa do wyjazdu.” Trzeba było wszystko pozbierać, bo nie wiadomo czy się przyjedzie z powrotem. Szybko, szybko, wyjechaliśmy w stronę Hertogenbosch. Dojechaliśmy tam, do starego klasztoru nas zaprowadzili. Nie było okien, drzwi, nic. Latające bomby wszystko wytłukły. No i zaczęliśmy budować most. To była stara droga Breda – Tilburg – Hertogenbosch – Nijmegen. To była wtenczas ta główna droga. I ten most Bayleja, co Anglicy zrobili, tośmy zaraz przygotowali do wysadzenia. I dalej nad Mozę. Nie było się gdzie dobrze schować. Niemcy z wału mieli dobre pole do ostrzału. Tam zginął mój kolega. Jak się zaczęła kontrofensywa Rundstedta, spodziewali się, że miał najkrótszą drogę prosto na Antwerpię przedostać się. Tam myśmy miny zakładali. W nocy a rana, przed świtem trzeba było zwiać. Ten mój kolega tylko wyszedł przed drzwi i prosto w serce dostał. Ja się cofnąłem, zaraz koledzy przyszli, zaczęli strzelać, ale mgła była, nie było nic widać. W Tilburgu leży pochowany. Chłopina był żonaty w Szkocji, miał dwoje dzieci.

Tak żeśmy później ze dwa tygodnie leżeli w Rosmalen. Żeśmy przydzieleni byli do, nie pamiętam do którego pułku. Stamtąd znowu na miejsce postoju. I dalej się szło nad morze. Aż później przyszedł wyjazd na północne Niemcy. Już dokładnie daty nie pamiętam, ale to było po Wielkanocy. Jeszcze miałem tu znajomość, do panny. Do jej rodziny chodziłem. To tu było w Bredzie, na drugim końcu Bredy. Tam jeszcze święta z nimi spędziłem i po świętach miałem wyjazd. Wyjechaliśmy na północ. Pierwszy most w Goor, znowu w Holandii żeśmy robili. Przejeżdżało się przez Niemcy, znowu do Holandii. Tam my most zrobili. I szliśmy dalej, aż do Emmen. W Emmen znowu most.

J.Z.: Czy pamięta Pan może moment wkroczenia na ziemie niemieckie? Nie chodzi mi nawet o konkretną datę, ale o pańskie przeżycie z tą chwilą związane. Czy robiło to na Panu jakieś wrażenie, że po tylu latach tułaczki wojennej wkraczał Pan na teren niemiecki?

L.S.: Tam właściwie w ogóle nie było żadnego życia, wszystko gdzieś pouciekało.

J.Z.: Czasami we wspomnieniach żołnierskich można przeczytać, że wszyscy ci, którzy ucierpieli ze strony niemieckiej, czekali na moment, kiedy będą mogli pomścić te swoje krzywdy.

L.S.: Pomścić to trzeba się na kimś. Na żołnierzach, a nie na cywilach. Pojechaliśmy aż do Emmen. To wtenczas byłem trzy dni i dwie noce na motocyklu. To już myślałem, że się teraz prześpię. Porucznik przychodzi i mówi: „Ludwiś. Weź tą kolumnę Anglików i jedźcie po nowe mosty, bo będziemy więcej potrzebować.” Z Emmen na prawo szliśmy przez lasy nad Ems, rzekę Ems, to było miasto Haren nad rzeką Ems. Późniejszy Maczków. Tam żeśmy most robili, żeby później dywizja przeszła do Niemiec. I tam były dopiero właściwe Niemcy. Jak żeśmy przeszli. No i co, trudno, pojechałem. Przyjechałem z powrotem z tą kolumną do Emmen. Tam już naszych nie było, były jakieś jednostki, ale powiedzieli tam i tam jedź. No to jadę z tymi Anglikami. Leśne drogi, już Niemcy byli ale nie było białych flag. Normalnie Niemcy wywieszali białe flagi to żeśmy wiedzieli, że się poddają. Jedziemy tak i jedziemy. Anglicy też się przygotowali, karabiny maszynowe postawili na te wozy i tak jechaliśmy pomału. Ale dojechaliśmy szczęśliwie do Haren. Tam dopiero, jak to wszystko oddałem, to poszedłem dobrze się umyć i wyspać.

Jak ten most zrobiliśmy to później szło się dalej, na Aaschendorf, Papenburg. Po drodze wszystko się spotykało.

J.Z.: Jaki był pierwszy kontakt z ludnością niemiecką cywilną, jaki był stosunek pańskich kolegów do Niemców, jaki był stosunek niemieckich cywilów do polskich żołnierzy?

L.S.: Normalnie, po ludzku. Tylko mówili, żebyśmy za dużo nie rozmawiali. Ja musiałem na przykład kwatery organizować. Mówiłem po niemiecku to musiałem dowiedzieć się gdzie są kwatery. Napisałem kredą na drzwiach, tutaj czterech, tam pięciu. I tak było. No ale rozmawiać było trzeba. Też było tak, że niektórzy tam zaraz Niemki znaleźli i to i owo. Ale mniejsza o to.

J.Z.: Czyli to zachowanie żołnierzy polskich nie było do końca w porządku? Zdarzały się jakieś historie, przypadki rabunków, pobic, gwałtów?

L.S.: O nie! Gwałtów nie! Bo tam jeden zgwałcił Niemkę pod pistoletem, to dostał karę śmierci. Jakiś piechociniec. To pamiętam. To było zabronione. Tak, że nie, gwałtów nie było. A rabunków? Gdzie tam, co tam człowiek mógł zabrać?

J.Z.: Czy znaczy to, że chęci odwetu nie było widać?

L.S.: O była, była!

J.Z.: Czy to znaczy, że rozkazami trzeba było wyhamowywać tę chęć odwetu?

L.S.: Na przykład w Aschendorfie w czasie walk ulicznych weszło nas tam paru do takiego domu, a czołgi były z przodu. Oglądamy tam jakieś albumy, które się znalazło. Był album właściciela tego domu, jakiegoś majora niemieckiego. Podpis pod zdjęciem, że stoi w Polsce pod wielkim drzewem, a na tym drzewie wisiało z 50 Polaków. Było więcej takich zdjęć. A myśmy mieli takie rzeczy od razu zbierać, oddawało się żandarmerii. Ten dom jego zaraz stanął w płomieniach

Spaliśmy w takim dużym gospodarstwie. Właściciel też był jakimś wysokim SS-manem. Tam byli Francuzi i Ukrainki były, na tym gospodarstwie pracowały. Tam była też gorzelnia. Zaczęliśmy się do niej dobierać, przyszedł właściciel, Niemiec i mówi, że nie wolno, gadał dużo. Ale przyszły też te Ukrainki czy Rosjanki, zaraz mu tam przy nas po zębach wytrzaskały! Te kobiety, te dziewczyny. Taki, taki był. Wzięli go z tyłu za dom, tylko było słycać strzał.

Tam gdzieśmy nocowali duże gospodarstwo było. Właścicielka z córką były. Ci Francuzi, ci niewolnicy, jak się ich tylko wyzwoliło, to oni manele na plecy i już do tyłu. Ale te Ukrainki zostały tam. Było ich z piętnaście czy ileś, i też powiadały, jak ona się nad nimi znęcała, ta właścicielka. Stale z takim dużym psem chodziła, goniła to wszystko. Rano wyjeżdżamy, jeszcze ostatni wóz nie opuścił podwórza, a tu już wszystko w płomieniach.

J.Z.: Czy takie czyny, jak spalenie gospodarstwa czy zastrzelenie Niemca spotykały się z takim surowym potępieniem i karą, jak gwałt na Niemkach?

L.S.: Nie wiem, nie mogę powiedzieć.

Pojechaliśmy dalej, w stronę Wilhelmshaven pomału się szło. Jeszcze parę takich wypadków było. Jechaliśmy, trzy czołgi były, pluton piechoty. Do takiej wioski, przez lasy. Droga ładna, betonowa. Tam w tej wiosce były zapory. Jako saperzy mieliśmy to uprzętnąć i drogę wolną zrobić. Ostatni czołg został w tyle trochę. Jaki wybuch! Patrzymy a ten czołg do góry gaśnienicami leży! Pięciu członków załogi i pięciu piechocińców na nim było. Zaraz tam dolecieliśmy do niego i widzę druty do lasu. Pan wie, te do zapalania. Piechocińcy przylecieli i idziemy za tymi drutami. I wychodzi dwóch starych: „My się chcemy poddać.”

J.Z.: Cywile?

L.S.: Nie. Niemcy, wojskowi. Siedzieli w dziurze, trochę zamaskowani, no i czekali i ten czołg w powietrze wysadzili. Pod tą betonową drogą dwie bomby były samolotowe zakopane. No i wysadzili. „My chcemy się poddać.” – mówią. A ten piechociniec: „Koniec.” Co będziesz rozmawiał z takimi.

No i tak jechaliśmy dalej, aż w pewnym momencie był przejazd kolejowy, tory były wysadzone. No i znowu saperzy do roboty. Rano to było. Przyjeżdżamy do jakiegoś gospodarstwa. Chcemy jakichś jajek poszukać. A tam zza takiej kupy drzewa w ogrodzie poukładanej jakieś dziecko woła. Mówimy: „Proszę wyjść, wyjdźcie.” Ale bały się. Poszedłem bliżej. Oczywiście sten gotowy. Kolega też. Tam ci Niemcy siedzieli całą noc po pas w wodzie. Mieli starą babcię, którą jeden z nich trzymał całą noc na rękach. Wyszli, rozmawiamy. Mówię im, żeby poszli jak najszybciej do domu pod pierzyny. Poszedł do domu i przychodzi za chwilę z kawałkiem chleba. Bo im Niemcy powiedzieli, że Anglicy z Normandii idą, jeść nie mają co. A ja mówię, nie.

Niech odda to tym dzieciom. Miałem czekoladę to im dałem. Bo to zmarznięte. No i pytam się o jajka. Zaraz przyniosła koszyk jajek. A to są takie momenty...

No i tak się szło dalej. A 4 maja...

J.Z.: Przepraszam, jeszcze na chwilę wróćmy do tej historii z Niemcami w wodzie, czekoladą i jajkami. Czy ci Niemcy dowiedzieli się, że Pan jest Polakiem?

L.S.: Tak.

J.Z.: I jak była wówczas ich reakcja?

L.S.: W pierwszym momencie klęli na Hitlera! Że ich tak za nos ciągnął. Dopiero teraz widzieli prawdę.

4 maja trzeba było most robić. Niemcy wysadzali wszystko, mosty, drogi. Nie było materiału żeby zasypywać te leje. Bo to wszystko woda, moczary. No to trzeba było mosty robić. W to popołudnie 4 maja pamiętam, tośmy tak wyszli, cały pluton. Niemcy wystrzelili na nas te swoje katusze. Całe szczęście, że byliśmy po drugiej stronie drogi! Niemcy mieli rosyjskie katusze, te „organy Stalina” po Rosjanach. Wrzask był, świst straszny! Ostatnia seria spadła do rowu po drugiej stronie drogi! Mieliśmy szczęście! Tak. W ostatnie dni przed kapitulacją. No i na drugi dzień rano porucznik mówi, to przygotuj się, jedziemy w to i w to miejsce. Przyjadą rozjemcy niemieccy, będziesz trochę tłumaczył. No i pojedziemy wpierw do Wilhelmshaven. Pojechaliśmy tam. Przyjechało jakichś Niemców. Jakiś kapitan był i dwóch niższych oficerów i jakiś zwykły żołnierz. Na nowych rowerach przyjechali. Pytali gdzie mają postawić rowery. „A tutaj pod drzewo.” Gdzie będziesz stawiał. Patrzymy na mapę. Tędy pojedziemy. Oni gwarantowali, że droga jest pewna. Do Wilhelmshaven. I był też porucznik żandarmerii jeepem. Więc paru tam do jeepa, trzech do jeepa wsiadło, a jeden na skautka z porucznikiem. No i jedziemy. Ja motorem za nimi. Przyjechaliśmy tam, a tam dopiero zobaczyłem. 20 kilometrów od Wilhelmshaven, a tam wojska niemieckiego tyle było. Niemcy tak patrzyli, myślę sobie, że gdyby tak mogli to by mnie tu zaraz załatwili. Niechętnie z drogi schodzili. Przyjechaliśmy do Wilhelmshaven i w pewnym miejscu parkujemy. Porucznik teraz mówi: „Ludwik, teraz jedź po dywizję.” Tam już czołgi stały gotowe. Teraz miałem największego stracha w czasie wojny. Sam na motocyklu, przez te tłumy niemieckie. Po tych wioskach pełno Niemców. Nie wiadomo. Będą niby rozbrojeni, a któryś może mieć

pistolet. Ale przejechałem szczęśliwie i zameldowałem. Już nie wiem czy to pułkownik Majewski był, czy ktoś inny z 10 psk. No i wtedy, jak już te czołgi miałem za sobą, to już inaczej się jechało.

Tak trochę pogrzebaliśmy w tych magazynach wojskowych. Bunkry dla łodzi podwodnych tam były. Z powrotem do takiej wioski na przystanek, postój krótki. Skończyła się wojna. Tam było zakończenie wojny i później zostałem tam jeszcze na czas okupacji.

Pojechaliśmy na „Emsland”, Papenburg, Aschendorf, Meppen. Myśmy stali 16 kilometrów od Meppen. Ale w wiosce takiej gdzie nie było nic. Żywej duszy. Ale spokój był.

J.Z.: Nie było żadnej miejscowej ludności?

L.S.: Była, była. Nawet tak się z biegiem czasu zżyło. No bo trzeba było jakoś żyć. Byliśmy u gospodarza na kwaterze. Tak, że przez te dwa lata człowiek się zżył z tą ludnością.

J.Z.: Jak wyglądał ten pierwszy okres współżycia? Przecież jakieś więzi trzeba była nawiązać.

L.S.: Poszedłem do gospodarza, żeby pokazał jakie mają pokoje wolne. Zaraz porozdzielaliśmy ludzi na pokoje. Wtedy widać było, że nic nie gadali, musieli się z tym pogodzić. A później się zżyło z czasem.

J.Z.: Ale czy były takie momenty, że oni okazywali niechęć wyraźną w stosunku do was?

L.S.: Nie, tego nie spotkałem.

Zacząła się okupacja. Naprawa dróg, to i to. Musieli Niemcy dawać robotników. Bo tam straszna była droga dojazdowa. Te 16 kilometrów drogi było strasznie zniszczone. I mosty mieliśmy wszystkie pod opieką, na terenie okupacji naszej. 47 mostów. Naprawialiśmy mosty, drogi. Teren był rozminowywany. Były przypadki, że dzieci niemieckie bawiły się gdzieś, czasami czołg angielski był zniszczony, zeskakiwały z niego i wpadali na minę. Raz chłopak zeskoczył z czołgu i wpadł na minę, więc zaraz musieliśmy pojechać sprawdzać, rozminowywać. Albo znaleźli gdzieś jakieś niewypały. Ale te 47 mostów trzeba było co miesiąc objeżdżać i nadzorować. A to były wszystko mosty Bayleja przeważnie. Z drewnianymi podłogami.

Kiedy oswobodziliśmy Bredę, pierwszych parę dni stacjonowaliśmy we wschodniej części Bredy. Tam było dwóch plutonowych w pewnej kwaterze, musiałem jako goniec tam chodzić. No i zapoznałem się z tą rodziną. Było tam troje dzieci, szwagier był w moim wieku. No i jedną córkę mieli. No i tak zaraz klapło, jak to się mówi po naszymu. Rodzinka mi się bardzo podobała, bo to tak było, my byliśmy po wojnie, dobrzy katolicy. Co wieczór, jak miałem czas, to podjeżdżałem. Przyszedłem żeby przesiedzieć wieczór. No i później, jak żeśmy ruszyli do Niemiec dalej, na północ i do Niemiec, no to wtenczas człowiek, jak tylko się po kapitulacji dostało pierwszy urlop to się tam jechało. Później się tak jechało na autostopa też. Prawie co tydzień, co weekend.

Postanowiłem po demobilizacji wrócić tutaj. Tak było umówione. Wiadomości z domu miałem. Na okupacji już dostałem list. Później już normalnie listy przychodziły. Ojciec pisał. Napisał tak: „Jak masz w Holandii okazję łopata robić to zostań.” Więc dał mi do zrozumienia. A miał po wojnie swoją własną firmę. Założył firmę budowlaną. To trwało parę lat i zlikwidowali. Ale mniejsza o to. Podałem się do demobilizacji. Miałem już papiery, znaczy to pozwolenie pobytu w Holandii. Miałem już, bo w tej ulicy mieszkał też jakiś sekretarz z urzędu gminnego, dobrze się znał z teściami. I przyjechałem do Holandii 16 listopada w 1946 roku. Przyjechało się do Holandii, zameldowało się. Dwa tygodnie dostałem wolnego jeszcze. I później trzeba było iść do pracy.

J.Z.: U kogo się Pan zatrzymał? U tej rodziny właśnie?

L.S.: Tak u tej rodziny. Duże mieszkanie było. I tam się początkowo ulokowałem. Przyjechałem po dwóch tygodniach. Musiałem iść do pracy, bo inaczej nie dostałbym kartek na żywność. Bo była bieda, jak wiadomo. Nic nie było, wszystko na kartki. I też nie za dużo.

J.Z.: Kiedy odchodził Pan z wojska to dostał Pan jakieś pieniądze, jakąś odprawę?

L.S.: Dostałem coś koło 60, ponad 60 funtów odprawy i cywilne ubranie, płaszcz itd. Jak najwięcej wojskowych drelichów do pracy się używało. Poszedłem z teściem do fabryki wag. Listopad, zima się zaczynała, na budowę nie było już szans. Poszedłem do tej fabryki na montaż. Na montażu wag sklepowych. Ale, jak to saper, człowiek przyzwyczajony do pracy na świeżym powietrzu. W fabryce to ma się swoje

miejsce, narzędzia i stój cały dzień, nie. To nie było dla mnie. Później zmówiłem się z kuzynem przyszłej żony, on pracował w firmie budowlanej, był majstrem zbrojarzem. Powiedział, że potrzebują budowlańców, cieśli, itp. Lepszy zarobek był. Nie chcieli mnie zwolnić, bo to było trudno o pracowników. Ale, że jestem budowlańcem, więc musieli mnie zwolnić. Tak, że na wiosnę, to było jakoś w kwietniu, poszedłem do tej firmy budowlanej i tam zacząłem pierwsze takie pięć miesięcy. Taki duży to był teren, tam mieli magazyny, stolarnia była. Trochę się musiałem przyzwyczaić. Później zaczęli budować duże garaże dla autobusów w mieście i tam poszedłem na tą robotę.

Holendrzy się dziwili i mówili, jak to Polak przyszedł z wojska i na roboty betonowe. Oni tu mieli dobrych fachowców, cieśli, on potrafił okno zrobić i drzwi. Ja tego nie potrafiłem. Bo ja cały czas tam przez te trzy lata w Niemczech tylko te duże roboty betonowe, fundamenty pod różne duże maszyny robiłem. Tak, że dobrze szło. Przyszła teściowa się trochę krzywiła, bo to taki model tutaj, że jak się ma pracę to trzeba trzymać. Ale jak później przyniosłem do domu 10 guldenów więcej na tydzień, więcej od teścia, który był majstrem w fabryce tych wag, wtenczas była zadowolona.

Zaczęliśmy tą robotę. Tak pięć lat pracowałem tutaj w Bredzie na miejscu. A już wszystkie te roboty są rozwalone. Niektóre małe stoją, a z tych dużych budowli jedna duża stoi, to jest chłodnia.

J.Z.: Czy w tej firmie budowlanej pracowali sami Holendrzy?

L.S.: Sami Holendrzy.

J.Z.: Jak się z nimi współpraca układała?

L.S.: Dobrze. Bardzo dobrze się układała. Tylko tu był taki zwyczaj, angielski, jak jesteś murarzem to nie umiesz innej roboty. Oni się dziwili, bo mieliśmy dużo motorów. Jak coś trzeba było naprawić to mnie wołali. Nawalił bezpiecznik w betoniarce, „Ludwik chodź zobacz co jest.” To się dziwili, że ja to wszystko potrafiłem. Miałem lepsze takie poważanie. Tak zawsze człowiek miał dobrze.

Po pięciu latach się roboty skończyły. Jeździłem do Tilburga, tu i tu.

J.Z.: Ale z tej samej firmy dalej?

L.S.: Nie. Na budowie to się zmieniało firmy, jak się robota skończyła a firma nie miała nic innego to się szło do drugiego.

W 1948 roku dopiero się ożeniłem. Siedziałem dwa lata, nie miałem ochoty do żeniaczki. Byłem na stacji, u sąsiada. Płaciłem 15 guldenów tygodniowo, a teściowa mówi, to za te pieniądze we dwójkę śmiało wyżyjecie. No to dobrze. To były zmarnowane pieniądze. A musiałem mieszkać u sąsiada, bo ksiądz proboszcz nalegał na to, że nie wolno było żeby nieżonaci pod jednym dachem spali. Na kąpielisku na przykład też dziwne rzeczy były. Bo po jednej stronie drutu same kobiety, dziewczyny, z dziećmi były, a po drugiej stronie sami mężczyźni. Nie było wspólnych kąpiei.

Zacząłem jeździć po różnych firmach, aż wreszcie do Rotterdamu. Kolega mi zaproponował. Ja miałem prawo jazdy. Myślałem, że może się uda za kierowcę, jak nie będzie nic innego. Ten kolega miał samochód, busik firmowy. I myśmy dojeżdżali do tego Rotterdamu. Tam są duże doki. Dobre zarobki były, robota nie była taka specjalna, bo to były wszystko bardzo duże betony. Mury, podłogi. Podłoga w takim doku sześć metrów gruba.

Ja już miałem dwoje dzieci. Trzeba było zarobić, żeby coś kupić. Mieszkałem sześć lat u teściów, miałem dwoje dzieci. Byłem zapisany, jako szukający mieszkania. Jak była zima to się nie pracowało. Jak było więcej jak sześć stopni mrozu to się nie pracowało. Jeździłem do tej gminy w sprawie mieszkania, pilnowałem. Na tej ulicy budowali już domy. Już mówili, że teraz na pewno dostanie dom. Wszyscy Holendrzy życzliwi byli. Tu nawet sąsiadka pode mną mieszka, też mieszkała koło nas. Jeździliśmy, mieszkania nie ma i nie ma. Inni, którzy nie potrzebowali, dostali, a ja nie. Doszło raz do takiej sytuacji, żeśmy się prawie z tym burmistrzem pobili. Już wyskoczył spoza tego stołu. Ja tylko nalegałem, żeby mi pokazał tą listę, czy ja naprawdę jestem tak daleko.

W 1954 roku na uroczystościach związanych z obchodem rocznicy wyzwolenia Bredy był generał Maczek. I tam w Bavel przy kościele stoi taki pomnik za wdzięczność. To było odsłonięcie tego pomnika. Ja tam stoję jeszcze w mundurze z kolegą, koło pomnika jako warta honorowa. Burmistrz zaczyna swoje opowiadanie, że muszą pamiętać o swoich oswobodzicielach, ton i to. A po drugiej stronie stoi taki pan Guns, który był z towarzystwa Nederland – Polen. On nam pomagał w szukaniu mieszkań. Bardzo dużo zrobił ten gość. I tylko kiwa na mnie, tylko kiwa. Jak żeśmy

przyszli, dostaliśmy w restauracji takiej jedzonko i pierwsze co było, poszedł do generała Maczka, oczywiście z tłumaczem, no i powiada, co ten burmistrz wszystko powiedział, a jak sprawa rzeczywiście się przedstawia. Generał Maczek poszedł do niego to tylko słyszałem, jak mu wywalił. I był też jakiś wysoki urzędnik z gminy, z Bredy, zaraz przyszedł i mówi mi, że mam w poniedziałek o dziewiątej zgłosić się w urzędzie gminy. W poniedziałek się tam zameldowałem. Jeszcze później dobry rok czekałem, bo trzeba było czekać na miejsce.

Ja wtenczas jeździłem do tego Rotterdamu. Wkrótce ja ten autobusik dostałem. Bo się skapowali, że lepiej się nim opiekuję. Po roku czasu, dla firmy to było za drogo, no i odsprzedali mi go po dobrej cenie. Jeździłem dalej, ale wtenczas już pieniądze zarobione na tym były dla mnie. I tak później jeździło się z jednej roboty na drugą. Dwadzieścia pięć lat jeździłem. W jednej firmie, w ostatniej firmie byłem dwadzieścia lat. Jeździłem na budowy. I miałem swoją brygadę. Najwygodniej było jeździć samochodem, bo pociągiem czy autobusem już tak nie pasowało. Miałem takich ludzi, żeśmy wszystko robili. I szalunki i murarkę, i to i to. Zimą przeważnie remontowało się tam jakieś stare chałupy. Trzeba było reperować. Takie roboty. Dwadzieścia lat siedziałem w tej firmie, aż później dostałem przedwczesną emeryturę, kiedy 61 lat miałem.

J.Z.: Przez ten cały okres, poza przykrym incydentem z burmistrzem w sprawie mieszkania, nie miał pan innych scysji, jakichś nieprzyjemnych zadrażnień z Holendrami?

L.S.: Nie. Nie było nic takiego. Różne roboty robiłem, w Bredzie te dwa silosy, w Rotterdamie, wielkie cukrownie, zbiorniki na zboże. Czasami Holendrzy nie mogli sobie dać rady. Myśmy dawali radę. Najwyższa budowa, jaką zrobiliśmy w Rotterdamie miała 60 metrów. Biurowiec wielki. Szkielet z betonu. Przez ten cały okres stosunek Holendrów był życzliwy, nie mogę narzekać.

J.Z.: Czy pańskie dzieci miały jakiś kontakt z kulturą polską, uczyły się języka polskiego?

L.S.: Ja nie miałem dużo czasu, ale jak miałem czas, jak syn miał już trzy, cztery lata, to mu polskie bajki czytałem. I nie mogłem opuścić słowa bo mówił, że to nie tak było. Rozumiał co się czytało i córka też. Córka była cztery lata starsza. Jak zrobili

szkółkę polską i tam pan Stolarz mówił, żeby posłać córkę. Dziwił się bo ona dużo lepiej wszystko rozumiała, niż dzieci, które chodziły już. Ale jak zaczęła do szkoły chodzić, z biegiem czasu, ja byłem mało w domu, tylko w sobotę, w niedzielę, a wieczorem przyjeżdżało się czasem w pół do siódmej, a rano do Rotterdamu wyjeżdżało się piętnaście po piątej. Jak człowiek przyszedł wieczorem do domu, a jeszcze tak na jesień, to zjadło się obiad i szło do spania.

Jeździliśmy do Polski. W 1957 roku mogliśmy zaraz pierwszy raz jechać. Pojechałem z kolegą, też saperem. On miał taki samochód dostawczy, bo miał sklep z firanami, robił tapicerkę. Ale bał się jechać do Polski. Jechaliśmy w dwa samochody. Ja się nie bałem. Kupiłem mapę europejską, bo jeszcze mapy Polski nie było. Na Słubice, później na Zieloną Górę, jeszcze Olszyny nie było, i tak na Wrocław tą starą drogą.

J.Z.: Jak Pan pamięta to pierwsze przekroczenie granicy Polski?

L.S.: Przyjechaliśmy rano, to pamiętam, bośmy całą noc jechali. Przez DDR dobrze się jechało bo było cichutko, spokojnie. Przyjechaliśmy rano, celnik przyszedł. Pooglądał to, to, to. We Wrocławiu ludzie się schodzili, bo oglądali wóz. Dojechaliśmy do Gliwic. Tam rodzice mieszkali. Przeprowadzili się właśnie z Czechowic do Gliwic, bo ojciec tam robotę dostał. Tam była kopalnia „Sośnica”. Chcieli to uruchomić zaraz po wojnie. Różne tam roboty były. Po Niemcach były mieszkania wolne. Dostali mieszkanie i przeprowadzili się tam. Do Gliwic. Mój syn miał cztery latka, jak był pierwszy raz w Polsce.

J.Z.: Czy wcześniej, do tego pierwszego wyjazdu do Polski, utrzymywał Pan jakiś kontakt z rodziną, kontakt listowny?

L.S.: Stale pisali. Miałem trzech braci. Wszyscy pisali, jeszcze matka. Wszyscy byli w Polsce. Więc miałem dużo pisanie. Ale jak tylko była możliwość pojechania, to pojechałem. Niektórzy krzywo na to patrzyli, nawet ksiądz polski tutejszy. Ja mu powiedziałem, że mnie komunistą nie zrobią. Od pięćdziesięciu już lat jestem w Bredzie kościelnym, a ostatnich 25 lat teraz i ministrantem też. Pan pułkownik Franciszek Ruczyński (Holender polskiego pochodzenia, syn żołnierz 1 DPanc. – przyp. J.Z.) był u mnie ministrantem. Wcześniej tu było dużo chłopców, a później jak to wszystko wyrosło, nie było nikogo. Nie było komu pomagać.

Żonie się tak spodobało tam u mojej rodziny w Polsce, że w 1958 roku wybraliśmy się motorem. Na motocyklu. I to była najlepsza jazda. Ruchu nie było, ładna pogoda. Człowiek jechał, w Berlinie nocowaliśmy. Burza nadchodziła od strony Polski przed Berlinem, ledwo wjechałem do hotelu zaczęło lać. Przespało się i na drugi dzień dalej. Tylko w Polsce później taki gorąc był, drogi były takie miękkie, że musieliśmy pod laskiem, w cieniu czekać, aż ostygnie. Cały błotnik miałem zawalony. Tym asfaltem. Jeździliśmy tylko głównie do rodziny. Kilka dni w Gliwicach, później do siostry w okolicy Jaworza przed Skoczowem. Tam dzieci miały raj. Nie było ruchu, domek pod lasem. Wieczorem wychodziły i sarny i dziki. Uciecha. Bociany. Jak jechaliśmy z powrotem to chłopak zawsze płakał. Miał tam dużo kuzynów. Moi bracia mieli po dwóch synów, siostra miała dwie córki i syna. Tak wszyscy razem byliśmy. Na sianie się spało! To się podobało. Cały dzień na rybach! Długo jeździliśmy. Wtenczas nie tak często, co dwa, trzy lata, bo to kosztowało. Już później miałem swój własny samochód to już trochę taniej było. Ale jak się pożyczalo to drożej było.

J.Z.: Czy dzieci pańskie nauczyły się języka polskiego na tyle, że były w stanie porozmawiać na przykład?

L.S.: Nie. Syn dużo rozumie. Syn mojego brata jak przyjeżdżał, znał angielski, to tak rozmawiali. W 1971 roku moja żona zmarła nagle. Zostałem z synem. Córka była już zamężna. Syn prawie co skończył średnią szkołę. Przez dwa lata, jak mogłem sam tak się zajmowałem. Ale to ciężko było. Pracować i domem się zajmować. Kuzyn był u mnie parę razy i wiedział jak tu jest. Pisze do mnie list czy nie myślę o żeniactwie. Ja mu tak bez namysłu odpisałem, że jak ma coś na oku dla mnie to proszę. On to wziął na serio i szukał. Przyjechałem w 1972 roku, pokazuje mi , tu masz jedna, drugą, trzecią. Szukaj. Obecna moja żona była wtedy w Ustroniu na wakacjach. Powiedział mi w którym miejscu. Mówię, to zobaczę. Pojechałem, zobaczyłem i tak zostało!

J.Z.: Ślub braliście Państwo tutaj czy w Polsce?

L.S.: Ja powiedziałem, że wpierw przyjadę na Boże Narodzenie. Jeszcze moja matka żyła. Posłałem zaproszenie mojej przyszłej żonie. Przyjedzie, zobaczy. Czy jej się podoba. Zobaczyła, pojechała pociągiem z powrotem, ale ślub cywilny już ześmy tutaj wzięli. Już miała od razu obywatelstwo holenderskie. Wszystko było załatwione. Ślub kościelny był w katedrze w Katowicach.

W pierwszych latach jeszcze nie miałem tyle wolnego na święta, to było za mało. Święta spędziliśmy tutaj, a na Nowy Rok pojechało się do kraju.

Pracowałem jako budowlaniec, także jako mierniczy. Bo to jak były robione fundamenty to trzeba było wszystko wymierzyć. Wozilem w bagażniku samochodu przyrządy do mierzenia, paliki, itp. Jak te „Łady” przyszły, 10 tysięcy guldenów kosztowały, a tu człowiek z drugiej ręki dobrego to nie kupił za te pieniądze. Tak piętnaście lat jeździłem. Pięć „Ład” przez piętnaście lat.

J.Z.: Czy tutaj w Bredzie po osiedleniu się brał Pan udział w jakichś zorganizowanych formach działalności, działał Pan może w organizacjach społecznych, kulturalno – oświatowych, kościelnych?

L.S.: Od założenia, od początku jestem członkiem Polskiego Towarzystwa Katolickiego, chór mieliśmy dobry. Organizowaliśmy różne takie imprezy na święta, na Boże Narodzenie, itp. Myśmy pierwsi zaczęli pasterkę o dwunastej w nocy, później na drugi rok nie mogliśmy sami do kościoła wejść, tylu Holendrów się naschodziło. Propaganda była, jak tam u Polaków ładnie, jak śpiewają. A jeszcze kolega zagrał „Cichą noc”.

Życie wśród Holendrów nam się dobrze tutaj układało. Mieliśmy własny „Dom Polski”. Tam się chodziło, tam była taka Polka, starsza pani, matka jednego Polaka, to ona tam prowadziła. W centrum miasta to było. Ten pierwszy „Dom Polski” był pod samą wieżą katedry. A drugi był trochę dalej, w tej wąskiej ulicy. Budynek był własnością Polaka. Miał po drugiej stronie restaurację. Tośmy sobie salę wyreperowali i tam się jeździło. Bardzo dobrą kucharką ta starsza Polka była, pączki pyszne robiła. Wieczorem się na rower wsiadało i jechało na pączki na przykład.

J.Z. Proszę mi powiedzieć, kiedy zaczęły się takie pierwsze zorganizowane kontakty żołnierzy gen. Maczka?

L.S.: To wszystko robiło i do dziś dnia robi Polskie Towarzystwo Katolickie.

J.Z.: W którym roku ta organizacja została założona?

L.S.: W 1997 roku, jak w szpitalu leżałem, było 50 – lecie założenia. Większość w PTK stanowili żołnierze. Z biegiem czasu zaczęło nas ubywać, ubywać, jedni się wypisali. Nie wszyscy brali udział w takim zorganizowanym życiu polskim. Jednemu się to podoba, innemu coś innego. Jak przyszło zebranie, to nikt nie chciał być

prezesem, nikt nie chciał być w zarządzie, żeby coś porobić. Jak nasz stary prezes Bronowski żył, to już lata temu, jak zmarł. To już wtedy byłem skarbnikiem. Trzy kadencje.

Później ja, Bula i jeszcze jeden kolega, założyliśmy drużynę siatkówki, „Cracovia”. Holendrzy się dziwili, bo siatkówki nie znali. Ja grałem w piłkę nożną w holenderskim klubie, ale zaraz potem poszedłem do siatkówki. Mieliśmy rozgrywki, mistrzami Bredy byliśmy długo, bo tutaj nie umieli jeszcze grać. Parę razy wygraliśmy mistrzostwo Holandii, pierwszy raz zdobyliśmy trzecie miejsce. Ja byłem najmłodszym chyba graczem. Pierwszy mecz przegraliśmy zero do piętnastu. Bo jakiś sędzia z Rotterdamu nauczył się z książki sędziowania. I jak ja Jankowi Buli wystawiłem, jak ten rąbnął, tak tam tylko świst! A sędzia: „Co pan! Zabić chcesz tego po drugiej stronie.” Tak grali jak babki, tak serwowali z dołu, lekko. A u nas już mieliśmy paru dobrych, to ho, ho! Rąbali!

Długo graliśmy na akademii wojskowej też. Tam poduczaliśmy tych instruktorów wojskowych. Policje w Bredzie uczyliśmy, dużą szkołę średnią.

J.Z.: Większość z panów, którzy się tutaj osiedlaliście, wyszła z Polski bez jakiegokolwiek zawodu. Jak to tutaj później wyglądało, właśnie kwestia nauczania zawodu, czy wielu starało się uczyć dalej, kształcić, czy studiowali?

L.S.: Kolega mój, on miał już parę lat gimnazjum, wykształcił się na kursach wieczorowych i był później kreślarkiem, konstruktorem w dużej fabryce maszyn. Do Polski jeździł. Oni robili takie kotły do elektrowni. Chcieli go nawet zatrzymać w Polsce, żeby do nich przeszedł. Ale nie chciał. Już zmarł. Dużo wojskowych było takich, którzy nie mieli fachu. Poszli do tych fabryk i ci właśnie narzekali, bo to jak nie masz fachu to ciężką inną robotę trzeba było robić.

J.Z.: Ale na co narzekali? Na Holendrów?

L.S.: Niektórzy myśleli, że jak to Polak, to mu dadzą od razu stanowisko dyrektora. Tak nie było, trzeba było zakasać rękawy i pracować. Z biegiem czasu się poduczali, niektórzy poszli do zawodowej szkoły wieczorowej i z biegiem czasu się poduczali. Na przykład w tej dużej fabryce sztucznego jedwabiu bardzo dużo Polaków pracowało. Taki pan Nowiński został tam jakimś przodownikiem, inny został jakimś majstrem.

J.Z.: Czy dzieci pańskie mieszkają w Bredzie?

L.S.: Syn mieszka w Terijda, a córka zmarła mając 45 lat. Mam po córce czworo wnuków, a syn ma też dwoje dzieci, córka ma 17 lat, a syn ma 14.

J.Z.: Czy wnuki interesują się Polską, sprawami polskimi?

L.S.: Od syna tak, bo on był z nimi już sześć razy w Wiśle. Jak się pyta wnuka gdzie jedziemy na wakacje, „Do Polski”. Wnukom się podobało w Polsce. Ładną pogodę mieli, po górach pochodzili, do kąpieliska nad Wisłę poszli.

Rano słuchałem na krótkich falach audycje dla wojska. Stare radio, jeszcze żona je przywiozła. Słucham, a tutaj ogłaszają, że stan wojenny wprowadzono. Początkowo to dziwne było. Ale później coraz więcej informacji było. Myśmy byli już spakowani, żeby na święta do Polski jechać. Wizę miałem zamówioną. Dopiero na wiosnę pojechaliśmy. W oknach świeczki się paliły. Zresztą w Polsce też chyba było podobnie. Kierowcy TIR-ów, którzy tutaj przyjechali po masło, opowiadali nam o tym stanie wojennym. Niezbyt dużo mówili, ale byli bardzo zmartwieni. W przyszłość czarno patrzyli.

J.Z.: Jak Pan z dzisiejszej perspektywy ocenia swoje życie tutaj w Holandii od momentu zdemobilizowania, czy jest Pan zadowolony z życia spędzonego tutaj?

L.S.: Z rodziną kontakt miałem, jeździliśmy dosyć często. Miałem tutaj znajomą rodzinę holenderską i dlatego pewnie zostałem. Przyjeżdżali różni z wiadomościami z Polski. Jeden pojechał na przełomie 1945/ 1946 roku do Polski. Pojechał na Śląsk z powrotem. Ja przyjeżdżam z przepustki, a on już też jest z powrotem. Matka go zaraz wypędziła z domu, mówi: „Jedź synu z powrotem!” Generał Patton był jeszcze w Pradze. Tam go przeszmuglowali do Czech i amerykańskie go odesłali z powrotem.

J.Z.: Czy myślał Pan o powrocie do Polski po tych wszystkich zmianach po 1989 roku?

L.S.: Nie, ani chwili. Już za późno było. Żona czasem by chciała! Dzieci tutaj wyrosły, rodzina, człowiek się tutaj zżył.

J.Z.: Czy wraca Pan czasami myślami do wydarzeń wojennych, do pańskich losów, do drogi wojennej?

L.S.: Jak się czasami z kolegami spotkamy. Samemu to się o tym nie myśli. Raz tylko, jak wracaliśmy autokarem z Polski, kierowca zapomniał zatankować i

stanęliśmy pod Berlinem. Zasnąłem i śniło mi się, że byłem na rozpoznaniu skautcarem z porucznikiem. Wjechaliśmy w taki las koło drogi i zostaliśmy ostrzelani. Porucznik mówi: „Nawracaj!” i w tym momencie się przebudziłem. Patrząc przez okno, ten sam widok! Taki sam las. Musiałem się chwilę otrząsnąć.

SPIS TREŚCI

Wstęp	1
Rozmowa ze Stanisławem Dancewiczem	6
Rozmowa z Ludwikiem Staszkiem	21



~~Cyfl. 5/4927~~

~~Cyfl. 355.478~~